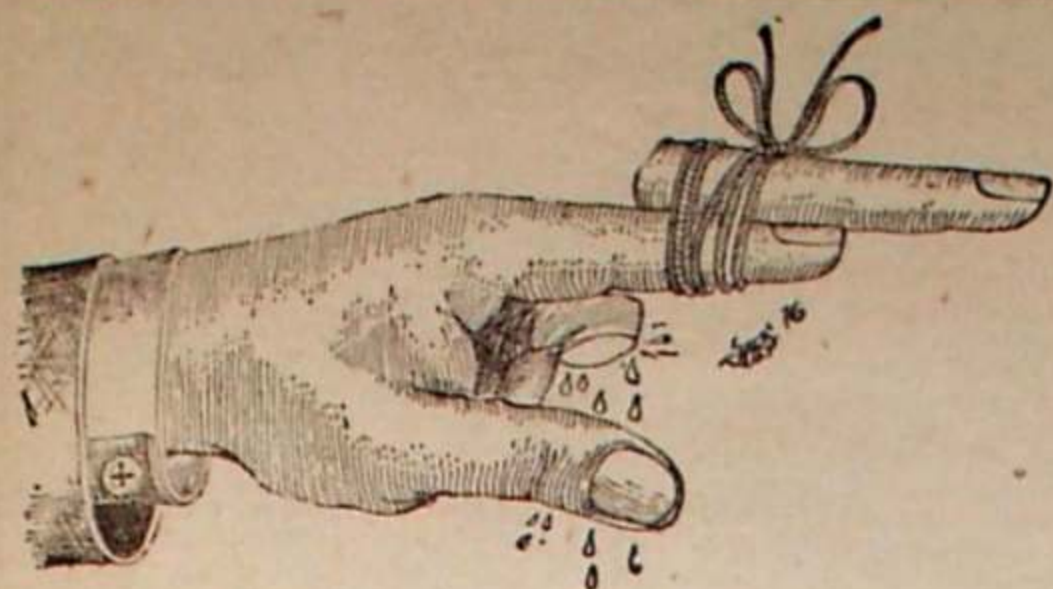


BEŁGŻE
LUBLIN

cz. 2552/1977/7



Tego jeszcze nie było!

KUPUJĄC TEN NUMER „KAMENY”
MOŻESZ ZDOBYĆ
25 000 ZŁOTYCH

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 3 IV 1977 Nr 7 (623)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

**MÓWI
LUCJAN TRELA
TRENER „MOTORU”**

str. 4-5



Fot. Zbigniew Zugał

Tajemnice cybernetyki

Jacek Głazewski

Autor jest członkiem sekcji bio cybernetyki Warszawskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Cybernetycznego

JEDNYM z przejawów działalności ludzkiej jest ciągle szukanie klucza otwierającego tajemnice rzeczywistości. Jest to zadanie przede wszystkim nauki, ale zwykły, przeciętny Polak na pewno zadaje sobie nieraz pytanie — dlaczego w nowym podziale administracyjnym kraju mamy 49 województw a nie 36 lub 58, czy możliwe jest usprawnienie sztucznej nerki, aparatury mogącej uratować i przedłużyć życie wielu chorych, a posiadającej jeszcze wiele mankamentów i niedogodności, tak, aby działała w sposób zbliżony do normalnej. Czy zjawiska psychologiczne można zdefiniować ściśle i przenieść na język matematyki, i wreszcie — czy nasze społeczeństwo funkcjonuje właściwie?

Nieodłączną cechą ludzkiej natury jest uleganie wpływowi mody. O ile jednak w dziedzinie konfekcji damskiej moda może nieraz przeczyć regułom zdrowego rozsądku czy elementarnemu poczuciu estetyki, w dziedzinie nauki moda ma zwykle jakąś racjonalną przyczynę. Najczęściej jest nią nadzieja na odnalezienie klucza otwierającego zamknięte dotychczas drzwi — znalezienia sposobu czy metody rozwiązywania nurtujących coraz bardziej zagadnień i problemów.

Norbert Wiener, który w 1948 roku opublikował pracę „Cybernetics or control and communication in the animal and the machine”, nie przypuszczał, że stanie się ona początkiem nowego kierunku w nauce, tym bardziej że wiele reguł cybernetyki było praktycznie stosowanych od dawna i można znaleźć je zarówno w „Fedonie” Sokratesa jak i w

dziele angielskiego lekarza Harvey'a opisującego po raz pierwszy zasady krążenia krwi. Harvey przedstawił układ krążenia jako cybernetyczny (nie używając wprawdzie tego słowa) układ samosterowny, którego centrum stanowi serce.

Rosyjski fizjolog Pawłow przedstawił złożoność biologicznych procesów sterowania także zgodnie z najnowszymi zasadami cybernetyki. Okazuje się więc, że jeden z kluczy o nazwie „cybernetyka”, jakimi posługuje się nauka nie jest niczym nowym. Nowe są tylko drzwi, które z różnym powodzeniem otwiera.

Pośród obiegowych, normalnie używanych wyrażen i zwrotów coraz częściej używa się takich jak „informacja”, „sprzężenie zwrotne” czy „sterowanie”. Stają się one nie tylko nieodzowne w formułowaniu naukowych zagadnień, ale przede wszystkim w rozwiązywaniu praktycznych problemów.

Oskar Lange w pracy „Całość i rozwój w świetle cybernetyki” zwrócił uwagę na fakt zasadniczy, że cybernetyka stała się jednym z narzędzi pomocniczych pozwalających precyzyjnie formułować i

Dokończenie na str. 4-5

Eugeniusz Jewtuszenko KOCHAM CIĘ, ROSJO

Ja się nie bawię w demokrację,
gdym zagranicą (to się zdarza)
przez skórę czuję, tak jak brata,
każdego ziemi tej nędzarza.

Ja się nie bawię w humanistę,
gdy — gdzie żywopłat się rozkracza,
(harmonia rżnie, to oczywiście!),
rani me serce pieśń wieśniacza.

Ja się nie bawię w liberala,
jeżeli chcę, by, przede wszystkim,
życie nikomu nie zabrała
praw jego, choćby z małym zyskiem.

Ja się nie bawię w patriotę,
jeżeli, wśród wilczego grona,
chrypię gdzieś w tajdze, pośród błota:
„Kocham Cię, Rosjo ma rodzona”.

Nie bawię się w kosmopolitę,
co w zgodzie żyje z całym światem;
żał, gdy paryski targ przekwita,
razem ze starym mym Arbatem.

W nic się nie bawię i nie łamię
i od nikogom niezależny,
czy w chacie, czyli też w wigwamie,
na scenie, czy — gdzie szyn.. przybrzeżny.

I, choć nie w smak to demagogoni,
co dzień szafuję swą osobą;
za wolność ginę, chwala bogom!
za prawo — bycia samym sobą.

Przełożył Andrzej Cesarz



Rys. Konrad Kozłowski

ZA BUGIEM

Powieść Romana Fedoriwa

ZOWTEN — ukraiński miesięcznik literacko-artystyczny i polityczno-społeczny — wydawany jest we Lwowie od roku 1940. Od kilku lat redaktorem naczelnym tego miesięcznika jest znany na Ukrainie pisarz-prozaiak Roman Fedoriw. Czytelnicy mieli już możliwość zapoznania się z opowiadaniem R. Fedoriwa „Kobieta w czerni” („Kamena”, nr 2 (461) z 17 stycznia 1971 r.).

Romana Fedoriwa jako pisarza interesuje głównie historia ziem zachodnioukraińskich, historia najstarsza i nowsza. W ostatnim czasie pojawiły się dwie obszerniejsze pozycje literackie tego autora.

Powieść na ponad 500 stronach pt. „Oteżyj switylnyk” (Świecznik ojczysty) ukazała się we Lwowie w Wydawnictwie „Kamieniar” w roku 1976. Pisarz wprowadza nas w okres dawnej historii Rusi Halickiej XII wieku, głównie w okres panowania księcia Jarosława Osmomysła. Są tu przedstawione walki między książętami o władzę, ruchy społeczne, niebezpieczeństwo najazdu Polowców. Powieść jest wielowątkowa, akcja odbywa się w różnych miejscach — na dworze książęcym w Haliczu, w miasteczkach i wioskach podkarpackich, a nawet w dalekim Konstantynopolu-Carogrodzie. Autor stara się przedstawić szczerzy i czynny patriotyzm mieszkańców Księstwa Halickiego, a przede wszystkim — warstw najniższych. Do języka utworu zastosowano dość widoczną archaizację, jak mi się wydaje, oddającą dobrze i właściwie atmosferę tamtych czasów. Do powieści wprowadzane są urywki z latopisów, styl więc najstarszych informacji historycznych cięży dodatnio na utworze. Dużo zadowolenia mieć będzie przy jej czytaniu amator-historyk i miłośnik stylu i języka archaizowanego. Widać w powieści nie tylko oryginalny talent pisarski, lecz również — dobrą znajomość najstarszej pisanej historii Rusi-Ukrainy na szerszym tle (R. Fedoriw, Oteżyj switylnyk, Lwów 1976, 504 strony).

W ostatnich zaś dwu numerach miesięcznika „Zowten” (ze stycznia i lutego 1977 r.) umieszczona została jego nowa powieść pt. „Kamjane Pole” (Kamienne Pole). Na 155 stronach czytamy opowieści o życiu ludzi z biednych podkarpackich wsi. Powieść została ubrana jakoby w formę reportażu literackiego z nawiązaniami głównie od okresu międzywojennego i trudnych lat okupacji hitlerowskiej. Akcja toczy się w różnych miejscach, nawet w Nowym Jorku. Wplatanie tu są często opowiadania-wspomnienia ludzi prawie nam współczesnych, część informacji podawana jest w formie listów, znalezionych czy otrzymanych przez autora-dziennikarza. Wplata autor w tekst utworu podania ludowe, poetycko uogólniające pewne problemy filozoficzno-życiowe, jak również — urywki pieśni ludowych. W języku zastosowano tu stylizację na gwiarę zachodnioukraińską z podkarpackich stron.

Oba utwory R. Fedoriwa napisane są z talentem i z właściwą kulturą literacką, część składową ich stylu stanowi poetyzacja ludowa, głównie w formie wypowiedzi.

M. L.

Leonid Breżniew o sytuacji międzynarodowej

OSTATNIE przemówienie Sekretarza Generalnego KC KPZR, Leonida Breżniewa, wygłoszone w czasie trwania XVI Zjazdu Związków Zawodowych, wywołało zrozumiałe zainteresowanie na całym świecie. Środki masowego przekazu, politycy, szczególnie uwypuklali tę część wystąpienia, która była poświęcona węzłowym zagadnieniom międzynarodowym. Nikogo to nie dziwi: opinie czołowego przywódcy ZSRR zawsze spotykały się z powszechnym rezonansem, teraz — w obliczu zmian w Białym Domu — rezonans ów był szczególnie mocny.

Leonid Breżniew traktuje współczesność bez iluzji, realistycznie, z całą powagą i pragnie, aby inni podobnie podchodzili do zagadnienia. Niestety, nie zawsze tak się dzieje.

rennych praw, swej godności i swych interesów. Równocześnie zaś konstruktywne, realistyczne podejście drugiej strony zawsze spotka się u nas ze zrozumieniem i gotowością do znalezienia wspólnego języka.

Słowa te zostały wypowiedziane w kontekście zapowiedzianej wizyty w Moskwie sekretarza stanu, Cyrusa Vance. Przywódca radziecki — zapewne z myślą o rozmowach ZSRR—USA — poruszył tu trzy sprawy: stosunki radziecko-amerykańskie, konflikt bliskowschodni oraz problemy rozbrojenia.

Jeśli chodzi o sprawę pierwszą, wyraził nadzieję, że interesy narodów obu krajów oraz interes zachowania powszechnego pokoju utworzą sobie drogę i stosunki między ZSRR a USA koniec końców się ułożą. Chodzi jednak o to, kiedy to

rytoriów arabskich okupowanych w 1967 r., a owo wycofanie mogłoby nastąpić etapami, w ściśle określonych terminach. Należałoby dokładnie ustalić odpowiednie linie graniczne między Izraelem a jego arabskimi sąsiadami, a po obu stronach wytyczonych granic utworzyć strefy zdemilitaryzowane, w których — na ściśle określony czas — zostałyby rozmieszczone specjalne siły zbrojne ONZ lub obserwatorzy ONZ.

Wykonanie warunków pokojowego uregulowania sytuacji mogłoby zostać zagwarantowane przez Radę Bezpieczeństwa ONZ, a być może również przez poszczególne mocarstwa.

I wreszcie sprawa trzecia: kwestia ograniczenia zbrojeń i rozbrojenia. ZSRR proponuje tu rozsądny kompromis, potrzebę wykazania wzajem-

CZAS NIE STOI W MIEJSCU

W świecie kapitalizmu są jeszcze wpływowe kółka polityczne, zainteresowane w tym, aby konstruktywny międzynarodowy dialog został zakłócony — stwierdził przywódca ZSRR. — Reakcyjne siły starego świata w żaden sposób nie chcą pogodzić się z tym, że nowe rośnie i umacnia się.

A przecież w dwadzieścia miesięcy po podpisaniu Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach pokój w Europie stał się trwałszy, a więzi gospodarcze, kulturalne i inne między krajami — znacznie szersze i bogatsze. Jakby na przekór temu Stany Zjednoczone, będące jednym z sygnatariuszy Konferencji w Helsinkach, zaczęły rościć sobie prawo do pouczania innych jak mają żyć. Do tego rodzaju roszczeń nie dają podstaw ani sytuacja w samych Stanach Zjednoczonych, ani ich poczynania i polityka poza granicami kraju. Sekretarz Generalny KC KPZR z całą mocą podkreślił, że ingerencji w nasze sprawy wewnętrzne nie będzie my tolerować z niczyjej strony i pod żadnym pretekstem. I ostrzegł jednocześnie: Na tego rodzaju podstawach nie do pomyślenia jest oczywiście normalne rozwijanie stosunków.

Dalej Leonid Breżniew stwierdził: Związek Radziecki zawsze nieugięcie bronił i bronić będzie swych suwe-

nastąpi, jaka będzie strata czasu, który mógłby być zużyty na wiele pożytecznych spraw. Ostatnio w stosunkach radziecko-amerykańskich dał się zauważyć pewien zastój, który strona amerykańska tłumaczyła kampanią wyborczą w USA. Nowa administracja sprawuje już władzę ponad dwa miesiące. Czas nie stoi w miejscu, należałoby podpisać nowy układ o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, podjąć wspólne inicjatywy mające na celu zakaz i likwidację najbardziej niebezpiecznych typów broni chemicznej, a także rozwinięcia kontaktów gospodarczych, wolnych od dyskryminacji. ZSRR i USA są współgospodarzami konferencji genewskiej i tu dochodzimy do sprawy drugiej: konfliktu bliskowschodniego.

Leonid Breżniew przedstawił konkretny plan. Podstawą dokumentu końcowego w sprawie pokoju na Bliskim Wschodzie powinna się stać zasada niedopuszczalności zdobywania terytoriów drogą wojny, a także prawo wszystkich państw tego regionu do niezawisłego bytu i bezpieczeństwa. Muszą być zagwarantowane prawa arabskiego narodu Palestyny, łącznie z jego prawem do samookreślenia, do utworzenia własnego państwa. Wojska izraelskie powinny się wycofać ze wszystkich te-

nej dobrej woli i zaufania. Sekretarz Generalny KC KPZR wskazał że nastal czas, by uświadomić sobie, iż polityka, która zakłada groźbę broni jądrowej i gotowość jej wykorzystania staje się coraz bardziej niebezpieczna dla ludzkości. Związek Radziecki od pierwszych dni pojawienia się broni jądrowej opowiada się za jej zakazem i zniszczeniem. Tak było i wtedy, gdy USA miały monopol na broń jądrową, tak jest i dziś, gdy wszyscy przyznają, że istnieje równowaga potęgi nuklearnej ZSRR i USA.

Zwracając się zaś do uczestników rokowań wiedeńskich, debatujących nad redukcją sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej, Leonid Breżniew oświadczył: Jesteśmy gotowi włączyć do chwili osiągnięcia porozumienia (w tej sprawie)... nie zwiększać liczebności naszych wojsk w tym rejonie. Pod warunkiem, oczywiście, że siły NATO także tutaj nie będą wzrastać. Przyjmijcie tę propozycję, szanowni partnerzy w rokowaniach, przyjmijcie jako pierwszy realny krok na drodze do redukcji sił zbrojnych! Bez wątpienia nikt z tego powodu nie przegra, zaś sprawa pokoju i sprawa bezpieczeństwa narodów tylko na tym zyska.

(j)

Z CZTERECH STRON KRAJU

POMNIKI PRZYRODY

W woj. sieradzkim znajduje się ok. 200 pomników przyrody. Są to zabytkowe drzewa — tysiącletnie dęby i 800-letnie lipy. Stare drzewa będą poddane zabiegom konserwatorskim, co pozwoli przedłużyć ich żywot. Zabiegi konserwacyjne i pielęgnacyjne będą wykonywane przy zastosowaniu najnowocześniejszych metod naukowych. Przewiduje się wykorzystanie do wypełniania ubytków wypróchniałych drzew — styropianu, który lepiej nadaje się do tego celu, niż stosowany dotychczas cement.

Kamena str. 2

UNIFIKACJA W PRZEMYŚLE

W biurze konstrukcyjnym Kombinatu Huty „Stalowa Wola” powołano zespół specjalistów zajmujących się unifikacją zespołów do maszyn budowlanych. Okazało się, że można bez specjalnych zmian konstrukcyjnych ujednolicić przeznaczone dla różnych typów maszyn tzw. elementy złączne. Dawniej używano 867 różnych śrub, obecnie — ograniczono ich liczbę do 680; zamiast 279 typów nakrętek stosuje się już — 156.

NOWI INŻYNIEROWIE ROLNICTWA

170 osób otrzymało dyplomy inżynierów rolnictwa, po ukończeniu zawodo-

wych zaocznych studiów Akademii Rolniczej w Lublinie. Są wśród nich reprezentanci kilku województw podnoszący swe kwalifikacje i wiedzę rolniczą. Lubelska uczelnia przed dwudziestu laty uruchomiła zawodowe studia zaoczne. Dzięki temu około 1400 osób zdobyło w tej uczelni dyplom i tytuł inżyniera rolnictwa.

TACHOMETR DLA TRAKTORÓW

Specjaliści z Zakładów Mechanizmów Precyzyjnych „Mera-Politik” w Łodzi pracują nad konstrukcją modelu tachometru dla nowego polskiego ciągnika rolniczego. Urządzenie to wskazywać będzie obroty silnika i prędkość jazdy

oraz rejestrować liczbę godzin pracujących przez ciągnik. Podobne urządzenia do traktorów polskiej konstrukcji „Mera-Politik” produkuje już od lat.

LOSOSIE PLYNĄ DO REGI?

Naukowcy mają do rozwiązania nową zagadkę związaną z wędrówką lososia. U ujścia Regi na Pomorzu Zachodnim złapano lososia typowego dla rejonów Oceanu Spokojnego. Okazało się, że był to lososie ze sztucznych siedlisk urządzonych we wschodnich rejonach Bałtyku. Stamtąd dopłynął on do Regi gdzie tradycyjnie przypływają na tarło lososie z Morza Północnego. Niewiadomo jak trafił on do lososiowej rzeki.

Obecnie rybacy z Międzyzdrojów i Wisielki łapią codziennie dość sporo troci spokrewnionych z lososiami. Zdążył się nawet ostatnio okaz o długości blisko 90 cm i wadze ponad 7 kg. Warto dodać, iż trocie osiągają w krajach zachodnich bardzo wysoką cenę.

WSPÓŁCZESNA POEZJA WŁOSKA

Przekłady
Nikosa
Chadzinikolau

Felice Mastroianni

Krople

Chciałbym usłyszeć
to stare serce
przedmiotów
w jednym tajemniczym rytmie
cierpliwości i nieobecności.

Ale czy będziemy mogli naprawdę
posmakować jeszcze,
niczym krople rosy,
te chwile wieczoru,
które opóźniają z godnością
swoje przejście w mrok?

Zeszyt jednego lata

Za życiem idyllicznym
cierpienie świata.

Vincenzo Mascaro

Upadek

Każdy przedmiot na początku
ma swój wdzięk.
Podobnie było z tobą.
Wieczna jest tylko nazwa
przedmiotów.
Może i pamięć
z nacieszonego ich istnienia

Księżyc wchodzi

Księżyc wchodzi
w oczy małego dziecka,
kołysze się słodko,
zatacza krąg trydy
i ponownie wraca do nieba.

Mario Romano

Do Luigi Pirandello

Kultura?
Gra pytań i odpowiedzi
w której zwyciężają
pytania.

Paolo Rufilli

Narkotyk Heleny

Nagle objawienie
bezpłodności pięknej Heleny
po burzliwych
ciężkich
przygodach:
w chwilowych rolach
ponownie zajęła miejsce
z królewską godnością
w obrazie
kobiety spalanej
w grze bogów.
Ubrana w szaty
mniemanego mordercy
oszukana
pieszczotami aktora.
W aluzyjnych symbolach
trwa
brząz duszy,
ujmuje
charakterystyczne cechy twarzy,
rozpuszcza w zapomnieniu
kwiat narkotyku.

PO UTRACIE niepodległości w 1939 roku wśród Polaków mało było już ludzi, którzy pragnęli by odrodzenia ojczyzny w dosłownym powtórzeniu jej przedwojennego kształtu ustrojowego. Nie oznaczało to jednak z kolei, że ukształtowała się jednolita postawa. Krzyżowały się lub współbrzmiały różne koncepcje ustrojowe. Wyraźnie odrębny program prezentowali polscy komuniści: członkowie byłej Komunistycznej Partii Polski i Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, a także lewicy Polskiej Partii Socjalistycznej, radykalni ludowcy i związkowcy.

Zanim ci ludzie w styczniu 1942 roku utworzyli Polską Partię Robotniczą, na długo przed tą datą, najczęściej bez szerszego porozumienia, po prostu kierowani swoją ideą, zakładali pod różnymi nazwami ugrupowania mające podobne cele: przeciwstawienie się faszystowskiemu okupantowi, podnoszenie ducha narodu i stworzenie takich warunków, aby po zwycięstwie było możliwe utworzenie ludowej władzy. Byli to: Związek Walki Wyzwoleńczej, Ro-

botniczo-Chłopska Organizacja Bojowa, Stowarzyszenie Przyjaciół ZSiR, Rewolucyjne Rady Robotniczo-Chłopskie, np. „Miot i Sierp”, Proletariusz, Polska Ludowa, Front Walki „Za Naszą i Waszą Wolność”, Czyn Chłopsko-Robotniczy, Bojowa Organizacja Ludowa, a także niemało lewicowych i lewicujących skupisk, które nie przyjęły nazwy, ale odczuwały potrzebę działania. I to był właśnie wyraz wyzwalającej się świadomości ludowego patriotyzmu.

No bo co innego nakazywało Aleksandrowi Szymańskiemu (pseudonim „Ali”) Michałowi Wójtowiczowi (ps. „Zygmunt”), Stanisławowi Szotowi (ps. „Kot”) Janowi Pytlowi (ps. „Leon”), Janowi Wziętkowi (ps. „Murzyn”) i sporej grupie ich towarzyszy założyć już w lipcu 1941 roku konspiracyjną Robotniczo-Chłopską Organizację Bojową w Kraśniku, a także w gminach Annopol, Brzozówka, Konin, Trzydnik, Urzędów i Zakrzówek? Komuniści zorganizowali te grupy w oparciu o doświadczenia nielegalnej pracy w KPP. Nie więc dziwnego, że przed trzydziestu pięciu laty, niedługo po utworzeniu w stolicy 8 stycznia 1942 roku Polskiej Partii Robotniczej, właśnie te ogniska przekształciły się w komórki PPR i w Kraśniku mogła się odbyć jedna z najpierwszych w kraju, a pierwsza na Lubelszczyźnie, Powiatowa Konferencja tej młodej partii. A co nakazywało w tym samym 1941 roku organizować podobne grupy działania o różnych nazwach na Zamojszczyźnie, Chelmszczyźnie i Podlasiu?

Kiedy Komitet Centralny przysłał do Lublina swego przedstawiciela, Włodzimierza Dąbrowskiego (ps. „Wujek”), istniały już podstawy kadrowe i członkowskie. Po krótkim czasie powstał II Obwód PPR a właśnie „Zygmunt” i „Ali” weszli w skład Komitetu Obwodowego, by potem być jego sekretarzami, każdy do śmierci. A ilu znakomitych działaczy partyjnych, gwardyjskich i rad narodowych ujawniło w tym czasie swoje zdolności przywódcze, które pozwalały im spełniać wiodącą rolę w okresie już powojennym i dzisiaj?

Wizja zmian w naszej ojczyźnie, świadomość ich konieczności nakazywały im więc odrodzenie partii, dającej możliwość przynależności dość szeroko pojętej lewicy patriotycznej. Busolą ideową i polityczną, motorem działania były uchwały Komitetu Centralnego PPR, a szczególnie deklaracje marcowa i listopadowa z 1943 roku pod nazwą: „O co walczymy?”. Czytamy w niej: *Wyzwolona spod jarzma hitlerowskiego — Polska nie będzie i nie może być Polska sprzed września 1939 r. Nie będzie dlatego, że takiej Polski nie żyłoby sobie naród. Przyszła Niepodległa Polska nie może być prywatnym folwarkiem pasożytniczej, wstecznej i reakcyjnej warstwy. Przyszła Wolna i Niepodległa Polska musi być narodową własnością najszerszych mas pracujących. To właśnie starych KPP-owców i Dąbrowszczaków, którzy wędrowali od wsi, zbierali ludzi w miastach i głosili idee partii, Stanisław Szot określił w swoim wspomnieniu:*

Byli to ludzie, którzy nie obawiali się narażenia własnego życia, zdecydowani n. wszystko.

Nie bez podawania mówi się o Lubelszczyźnie, że była kolebką ruchu partyzanckiego, także lewicowego. Istniejące grupy konspiracyjne PPR najczęściej stanowiły trzon oddziałów bojowych i one stały się zbrojnym ramieniem partii: Gwardią Ludową, a po dwóch latach Armią Ludową. Istniejąca równocześnie Armia Krajowa oraz inne organizacje wojskowe podległe rządowi londyńskiemu dysponowały kadrami oficerską i podoficerską oraz zasobami materialnymi, a więc przede wszystkim bronią. Była to liczna i dobrze zorganizowana machina wojskowa.

Natomiast zarówno PPR, jak i GL nie miały początkowo zbyt wielu dowódców z dawnej kadry. Pracowały ponadto w trudniejszych warunkach także z innego powodu. Brzmiały jeszcze echa antykomunistycznej, niewybrednej propagandy z całego okresu międzywojennego. Naród wartościował po Wrześniu wszystko to, co mu przed tym wpajano, a to pozwalało poszerzać

— demokrację. Przed dziewiętnastu laty na zorganizowanej przez KW PZPR w Lublinie sesji popularno-naukowej jeden z byłych dowódców GL i AL stwierdził: *Dowodzących kilkusetosobowego oddziału mógł być każdy dzielny, z inicjatywą, najczęściej samorzutnie organizujący ten oddział, miejscowy chłop, robotnik czy oddany sprawie inteligent, taka była zasada. W walkach, w ciągłym ruchu oddziałek (sekcja, drużyna), rozrastał się w pluton, kompanię. W procesie samej walki dołączali dowódcy i żołnierze.*

Sprawdziło się to w wielu potyczkach i regularnych bitwach, tych na Podlasiu, pod Rąblowem, w Lasach Janowskich, Lipskich i Puszczy Solińskiej. Panował w oddziałach GL i AL nie tylko demokratyzm, ale i internacjonalizm. Przecież oprócz Polaków należeli do czerwonej partyzantki liczni przedstawiciele narodów Związku Radzieckiego, Żydzi, a nawet Grecy. Pomijam tu dokonania dowódców powszechnie znanych, ale warto przypomnieć, że niemal dokładnie w tym samym czasie, gdy ze stolicy wyruszył

RODOWÓD

Tadeusz Jasiński

stopniowo zakres działania: wokół każdej piątki czy dziesiątki członków PPR gromadziło się pięćdziesięciu, stu i więcej gwardystów, a później AL-owców. To sprawiło, że statystycy odległych wydarzeń przyjmują liczbę dwudziestu tysięcy AL-owców na całej Lubelszczyźnie w momencie nadejścia frontu z Bugu. Wertowałem wspomnienia i pamiętniki tych żołnierzy partii, którzy przeżyli i byli, bądź są wśród nas. Zapoznałem się z dokumentami: rozkazami, listami i odczewami z okresu walki, a w których ani czas, ani ulomna pamięć nie mogły poczynić żadnych poprawek. Co z nich wynika?

Nade wszystko odczuwa się nieustanne wołanie o jedność walki z okupantem. Przeczytałem to można także w zachowanych egzemplarzach miejscowej prasy lewicowej z tamtego czasu, takiej jak: „Żołnierz Lubelszczyzny”, „Ostatnie Wiadomości”, „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Trybuna Ziemi Lubelskiej”, „Nasłuch radiowy”, „Razem na Niemca” i inne. Tytuł ostatniego czasopisma stał się hasłem Komitetu Powiatowego w Puławach. To w jego odezwie czytamy:

Bracia, razem na Niemca! Zjednoczenie da nam siłę równą, którą nie rozporządzą obecnie Niemcy w lubelskim województwie. Żołnierze AL, AK, BCH, podajmy sobie ręce do zgody, zawierajmy porozumienia współpracy wojskowej, jak uczyniły to już liczne grupy BCH i AL na terenie pow. Puławskiego, Włodawskiego, Lubartowskiego, Lubelskiego. Jakież to różnice zapatrywać mogą stanąć na przeszłość ku zjednoczeniu wszystkich Polaków, do walki przeciwko Niemcom o Wolną, Demokratyczną Ojczyznę? Któż jeszcze dziś śmie wątpić w to, że Wyzwolenie Polski może odbyć się bez zjednoczonego wysiłku zbrojnego Narodu Polskiego? Naród Polski, jęczący pod jarzmem niewoli niemieckiej, bracia nasi, ginący w kazamatkach Oświęcimia i Majdanku pytają nas: „KIEDY TO ZJEDNOCZENIE NASTAPI?” OD TEGO TYLKO ZALEŻY WYZWOLENIE NASZEJ OJCZYZNY. BRACIA, RAZEM NA NIEMCA!

Pod odezwą znajduje się rysunek przedstawicieli AL, BCH i AK z zawołaniem: *NAM POTRZEBNA WASZA GRABA, BY WYPĘDZIĆ PRZEDZĘ SZWABA!* A ile cierpliwości można znaleźć w odręcznych listach i rozkazach sekretarza Komitetu Okręgowego PPR na południu Lubelszczyzny, a potem w Lublinie — Waclawy Marek (ps. „Pola”), rozważnie dążącej do jednoczenia, a nie przeciwstawiania sobie sił? Ile takich samych dążeń było w działaniu dowódcy Okręgu Gwardii Ludowej, Pawła Dąbka (ps. „Paweł”), a także u sekretarzy i dowódców całego obwodu?

Ponadto upewniamy się że zarówno w Gwardii Ludowej, jak i następnie w Armii Ludowej funkcjonował niespotykany w pozostałych ugrupowaniach — poza Batalionami Chłopskimi które zresztą w swej masie sympatyzowały na wschodnim obszarze z ideami PPR, a wiele z nich weszło w skład AL

oddział GL im. S. Czarnieckiego pod dowództwem F. Zubrzyckiego (ps. „Mały Franek”), oddział GL spod Kraśnika Antoniego Palenia (ps. „Jastrząb”) dokonat pierwszych udanych akcji, np. w Zaklikowie, by uwolnić kilkudziesięciu więźniów.

W sumie ruch partyzancki na Lubelszczyźnie, a nade wszystko ten, który najbardziej zdecydowanie przeciwstawił się okupantowi i istocie faszystowskiej, wiązał stale co najmniej trzy dywizje doborowych wojsk niemieckich. Stanowił nie tylko odciążenie frontu wschodniego; przede wszystkim dezorganizował poprzez liczne akcje komunikację, a prowizację tegoż frontu. Uniemożliwiał działalność urzędów gminnych, zmniejszał władzę okupanta długo przed osiągnięciem nad nim zwycięstwa, uchronił dziesiątki tysięcy ludzi przed wywiezieniem do Rzeszy, dał schronienie radzieckim jeńcom oraz uciekinierom z obozów i dostrzeżal im broń.

Skoro trwała bezpośrednia walka, więc ludzie ginęli nie tylko po stronie niemieckiej. Straciło życie setki aktywistów Polskiej Partii Robotniczej, tysiące żołnierzy Gwardii Ludowej, Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej. Niestety, wydano im także walkę bratobójczą, której tak bardzo zawsze unikali. I to były śmierci najbardziej bolesne. Czasem, jak w Kazowie, gdzie przebywał sekretarz Komitetu Obwodowego, Jan Sławiński, posłużono się naprowadzeniem okupanta. Jednak zdarzało się niszczenie gwardystów i AL-owców przez ludzi mówiących tym samym językiem. Do najgłośniejszych należały mord gwardystów pod Borowem, ale też otoczenie oddziału AL w powiecie puławskim, w którym ostatecznie porażkę ponieśli napastnicy, zamordowanie żołnierzy AL we wsi Potok-Stany, a także wiele innych. A już po wyzwoleniu, dlaczego zabito i zmasakrowano pierwszego czerwonego wójta w Rybczewicach, przedwojennego KPP-owca, Wincentego Liśsa, gdy wiódł do Krasnegostawu rekrutów, którzy mieli wziąć udział w niezakończonyj jeszcze wojnie? Niemal wszystkie tego rodzaju akcje były dziełem Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ).

Nie w pełni zostały dotąd ukazane dokonania PPR i jej zbrojnych oddziałów na Chelmszczyźnie, Lubelszczyźnie, Podlasiu i Zamojszczyźnie. Na bardziej pogłębione opracowanie czeka także okres utworzenia PKWN a następnie Rządu Tymczasowego. Organizacja PPR tego obszaru stanowiła ogromne wsparcie dla Komitetu Centralnego PPR, KRN oraz wspomnianych już organów wykonawczych, szczególnie po styczniowej ofensywie i potem, gdy trzeba było ustanawiać polską władzę na odzyskanych terenach. AL-owcy z obszaru między Bugiem a Wisłą wzmocnili też Wojsko Polskie. Ale to już osobna karta historii.

LUCJAN TRELA — Tak, w Lublinie jestem od tygodnia. Zaangażowano mnie jako trenera bokserów „Motoru”.

IRENEUSZ S. KAMINSKI — Co na to bokserka Sława Wola? Boksował Pan w barwach „Stali”, mieszkając niemal całe dotychczasowe życie w tym mieście...

L. T. — Klub rozwiązał sekcję bokserów. A ja już półtora roku temu zakończyłem karierę sportową i zacząłem pracować w hucie: normalnie, w pełnym wymiarze godzin. No i właśnie otrzymałem propozycję z Lublina. Więc skorzystałem.

IJK — Lubili Pana publiczność, może najbardziej ze wszystkich polskich bokserów. Cieszył się Pan sympatią białych inteligentów, którzy pojawiali się na meczach w ramach działań kompensacyjnych. cenili Pana fachmani, uwielbiali knajpacy spod „rożno and piwo”. Wszyscy mówili, że w tym niewysokim człowieku jest wielkie serce do walki. Zresztą odplacał to Pan kibicom, „pajacując” czasami na ringu i wygrywając z dryblasami, którzy na pierwszy rzut oka winni zmiatać Pana za liny. Ale: jak Pan trafił do boksu?

LT — Z nudów, z zimowych nudów. Latem grywałem w piłkę nożną, zawodniczo, w drużynie juniorów, ale zimą nie było co robić. Przypadkowo trafiłem na trening bokserów i zostałem przy tym sporcie. Mając 16 lat zacząłem boksować zawodniczo: było to w 1958 roku. Dwa lata później zdobyłem mistrzostwo Polski juniorów w wadze ciężkiej, później pięciokrotnie byłem mistrzem kraju seniorów.

IJK — Ile walk Pan stoczył?

LT — 275, czyli dużo.

IJK — Pan Stanisław Zalewski, trener i masażysta kadry narodowej, twierdzi, że najwyższej pięćdziesięciu polskich bokserów ma za sobą tyle pojedynków. Czy miał Pan czasami ochotę „zniszczyć” przeciwnika, „zabić” go?

LT — Takie chęci może mieć Jobuz, a nie sportowiec. Największą satysfakcją sprawiło mi zwycięstwo na punkty. Mówiąc naszym żargonem, boks polega na tym, aby „oszukać”, „okraść przeciwnika”. Może tylko z pięć walk wygrałem przez nokaut. Podobnie jak Drogosz, bazowałem na technice i szybkości.

IJK — Czym był dla Pana boks?

LT — Życiem. Innych spraw dla mnie nie było. Kto dzisiaj traktuje sport na serio, ten nie ma czasu na do-

datkowe zajęcia, zwyczajne przyjemności.

IJK — Jak często Pan trenował?

LT — Sześć razy w tygodniu, a przed meczami — dziesięć razy tygodniowo.

IJK — Co pewien czas ożywają w prasie dyskusje na temat szkodliwości boksu dla zdrowia człowieka...

IJK — Czy te uwagi dotyczą także np. pływania i lekkiej atletyki?

LT — Wszystkich dyscyplin uprawianych wyczynowo. Aby osiągnąć dobry wynik, trzeba tyrać, co nie pozostaje bez wpływu na zdrowie zawodnika. Wie Pan, dzisiaj nie ma mowy o uprawianiu sportu dawnym sposobem. Kiedy to po ośmiu godzinach pracy w fabryce czy biurze szło się na trening, po-

tem kontrakt na dwa — trzy lata, po upływie tego czasu mogąc go przedłużyć albo nie, w zależności od chęci obu stron. W ten sposób hamuje się ciągłe zmiany barw klubowych i likwiduje kaperownictwo.

IJK — Jak Pan ocenia poziom naszego boksu?

LT — Boks polski upada. Dlatego, mówiąc wprost, że brakuje środków na jego rozwój.

IJK — Ale ta uwaga nie dotyczy chyba kadry narodowej?

LT — Powiem tylko tyle, że jak byłem w kadrze, to miałem gorsze warunki finansowe od niejednego, który boksował tylko w klubie. I to jest też odpowiedź na pytanie, dlaczego na obcych kadry zawsze kogoś brakuje, dlaczego ktoś „nie dojechał ze względów rodzinnych”. Bo temu się ten obóz i boksowanie w reprezentacji nie opłacało. Jeśli satysfakcja moralna, jaką na pewno daje udział w reprezentacji, nie zostanie wsparta materialną, trudno liczyć na odbudowę prestiżu kadry.

IJK — Interesowałem się boksem w latach pięćdziesiątych i trochę później, więc wiem, że największą gratyfikacją dla zawodników był sam fakt założenia koszulki z białym orłem.

LT — Tak, ale i reżim treningowy wyglądał wówczas inaczej. Dzisiaj w czasie pół albo godziny treningu zawodnik spala więcej kalorii, niż pracownik jakiegokolwiek zakładu produkcyjnego na całej swojej zmianie, liczącej osiem godzin. Chce Pan zrzucić ze dwa kilo?

IJK — Nawet z pięć!

LT — To niech Pan przyjdzie na dwa nasze treningi.

IJK — Ale Pan, wracając do tematu, wydaje mi się być człowiekiem urządzonym życiowo. Do sali treningowej podjechaliśmy pańską białą „dacią”...

LT — Tak, jestem urządzony, nie wypadłem na margines życia. Chyba dzięki żonie, która potrafi gospodarzyć i zawsze starała się, żeby po zakończeniu mojej kariery było z czego żyć.

IJK — Interesowała się żona boksem?

LT — Raczej nie. Nigdy w domu na ten temat nie rozmawialiśmy. Ona tylko wyglądała, czy wracam cały i zdrowy, a jak oko zauważyła podbite, to zaraz przykładała te swoje domowe lektarstwa, kompresy i tak dalej.

MÓWI

LUCJAN TRELA

TRENER

„MOTORU”

LT — Nie zgadzam się z tymi panami, którzy twierdzą, że boks, właśnie boks, nadwęża zdrowie zawodnika. Dzisiaj każdy sport wyczynowy jest szkodliwy dla organizmu. Osiągnięcie klasy wymaga obecnie straszliwego wysiłku, nawet Pan sobie nie zdaje sprawy, jak wielkiego. Nie przypadkowo mówi się o „reżimie treningowym”. Zresztą niech Pan spojrzy na tych chłopców, którzy tutaj trenują.

wiedzy — trzy razy w tygodniu. Ten sport jest codzienną, normalną pracą.

IJK — Więc może, dla jasności sprawy, należałoby wprowadzić w Polsce zawodowstwo?

LT — Chyba nie, raczej nie. Ale dla oczyszczenia atmosfery w naszym sporcie przydałoby się może wprowadzenie takiego systemu, jaki istnieje w Jugosławii, gdzie zawodnik podpisuje z klu-

Dokończenie ze str. 1

rozwiązywać określone zagadnienia materializmu dialektycznego. Tak więc cybernetyka z jej „wishful thinking” stanowiąc z jednej strony uzupełnienie filozofii matematycznymi zasadami, a z drugiej operując funkcją heurystyczną i prakseologią, daje możliwość rozwiązywania wielu pozornie skomplikowanych bądź tzw. „obiektywnie trudnych” problemów zarówno z dziedzin sterowania społeczeństwem, organizacji zarządzania, sfery produkcji, zjawisk społecznych, czy zwykłych i prostych przejawów życia. Okazuje się bowiem, że z punktu widzenia cybernetyki — myśli i steruje swoimi funkcjami nie tylko człowiek, ale i maszyna zbudowana przez człowieka, zaś człowiek nie jest niczym innym — jeżeli analizować jego reakcje, sposoby zachowania się, procesy fizjologiczne czy biochemiczne — jak szczególną maszyną cybernetyczną. Specyficzne i przypisywane tylko człowiekowi właściwości zbadane dokładnie przez neurofizjologię, psychologię czy socjologię przy dokładniejszej analizie są tylko poszczególnymi przypadkami ogólniejszych prawidłowości cybernetycznych.

Każdy żywy organizm może istnieć tylko wtedy, gdy jest zdolny do wymiany z otoczeniem materii, energii i informacji. Proces życia biologicznego jest jednak uwarunkowany utrzymaniem stanu wewnętrznej równowagi (homeostazy) równoznacznej z pojęciem zdrowia. U człowieka, podobnie jak i u innych organizmów żywych, stan poszczególnych składników ustrojowych, np. soli, cukru i innych związków chemicznych, jest wartością stałą, ulegającą tylko niewielkim odchyleniom w ramach granic określanych „fizjologiczną normą”. Nad utrzymaniem tej normy czuwają poszczególne narządy i układy uruchamiające na zasadzie sprzężenia zwrotnego mechanizmy regulacyjne. Np. magazynowanie glikogenu w wątrobie, a potem rozrost tkanki tłuszczowej, gdy w pożywieniu jest za dużo cukru i węglowodanów. Poziom cukru we krwi utrzymuje się tu w granicach normy i będzie utrzymywał się dzięki sprzężeniom zwrotnym mechanizmów regulacyjnych także w okresie głodzenia, kiedy następuje zużycie własnego glikogenu i tłuszczów przy niedoborze kalorycznym pożywienia. W cukrzycy jednak, kiedy zawadza mechanizmy regulacyjne spowodowane niedoborem pewnych hormonów, dochodzi do wzrostu ilości

Tajemnice

cukru we krwi ponad normę, zaburzenia jego przemian i jeżeli nie nastąpi korekta z zewnątrz przez podanie pewnych leków, dochodzi do samozatrucia organizmu substancjami przemian cukrowo-tłuszczowych.

Podobnie przy uszkodzeniu nerek, gdy nie ma możliwości wydalania z organizmu produktów przemiany materii, dochodzi do zaburzenia homeostazy spowodowanego nadmiarem szkodliwych związków. Sztuczna nerka jest urządzeniem umożliwiającym usuwanie z krwi tych substancji.

Funkcja nerek w organizmie sprowadza się do trojakiego działania: regulacji stężeń jonów i objętości wody, wydalania końcowych produktów przemiany materii, produkcji niektórych hormonów i substancji. Gdy w wypadku choroby funkcje nerek są tylko upośledzone, można korygować je odpowiednimi lekami i dietą. W zaawansowanym stadium choroby, kiedy nawet najbardziej ścisła dieta nie daje efektów, warunkiem utrzymania chorego przy życiu staje się zastosowanie tzw. dializy, polegającej na tym, że krew pobierana jest specjalną igłą z tętnicy pacjenta, przepływa przewodem do sztucznej nerki, gdzie poddawana jest procesowi dializy i końcowym przewodem powraca do żyły chorego. Działanie sztucznej nerki polega na przenikaniu rozpuszczonych substancji i wody poprzez błonę półprzepuszczalną, oddzielającą krew od płynu służącego do dializy. Procedura ta jest bardzo skomplikowana, gdyż sterowanie zmian stężeń poszczególnych składników krwi chorego oraz prędkość usuwania wody z organizmu musi być regulowana zmianami prędkości przepływu krwi i płynu w dializatorze, różnicami ciśnień hydrostatycznych i osmotycznych oraz stężeniami poszczególnych składników w płynie do dializy.

Aby poznać dokładnie zmiany, jakie zachodzą w organizmie w czasie dializy i racjonalnie sterować dializatorem, opracowano cybernetyczny model dializy pozaustrojowej, który będzie służył do ulepszenia zasad działania i funkcjonowania sztucznej nerki. Zagadnieniem tym zajmuje się biocybernetyka.

Prawidłowości i metody cybernetyki, które wykorzystano do stworzenia modelu dializy pozaustrojowej i analizy zmian zachodzących w organizmie, mogą służyć także do analizy zjawisk społecznych, gdyż każde zorganizowane społeczeństwo jest homeostatem podobnym do organizmu biologicznego i rządzi nim podobne prawidłowości.

Rozpatrując z punktu widzenia cybernetyki zjawisko norm społecznych w prawidłowo rozwijającym się społeczeństwie, można stwierdzić, że są one tak ukształtowane, że związane z nimi zachowania ludzi są korzystne dla danego społeczeństwa, zapewniając mu możliwość zachowania równowagi funkcjonalnej. Analizując mechanizm powstawania norm społecznych widzimy, że zarówno poszczególne ludzie jak i całe społeczeństwo posiada pamięć (korelator), dzięki której działania odpowiednich bodźców z otoczenia jak i własne działania nie mijają bez śladu, pozostawiają odpowiednie rejestraty w pamięci układu. Z kolei zwiększając one — w wypadku działań korzystnych dla układu — lub zmniejszając — w wypadku działań niekorzystnych dla niego — prawdopodobieństwo podjęcia analogicznych działań w przyszłości, pod wpływem takich samych lub analogicznych bodźców.

W każdym jednak społeczeństwie — jak twierdzi Józef Kossecki w wydanej niedawno „Cybernetyce społecznej” — obok społecznej homeostaty (czyli homeostaty w postaci odpowiednich organów kierowniczych) istnieją też odpowiednie homeostaty indywidualne jednostek ludzkich oraz grup społecznych. Właściwy rozwój społeczeństwa występuje wówczas, gdy te homeostaty współdziałają ze sobą, tzn. państwo broni interesów obywateli, obywatele zaś bronią interesów państwa. W wypadku gdy zaistnieje kolizja interesów indywidualnych (lub poszczególnych grup społecznych) i interesów zorganizowanego społeczeństwa (przede wszystkim interesów państwa) uspołecznienie obu homeostatów staje się niemożliwe, wskutek czego oddziaływanie homeostaty społecznej zostaje osłabione i opisany powyżej mechanizm powstawania norm społecznych ulega osłabieniu. Następuje wtedy w społeczeństwie tzw. pro-

IJK: — Przyjechał Pan do Lublina z żoną?

LT: — Nie, żona została w Stalowej. Wie Pan, ja tu się muszę rozpatrywać, a poza tym nigdy nie lubiłem palić motostów za sobą. Zlikwiduję mieszkanie w Stalowej, a tu nagle nie spodobał się jakimś działaczowi i powie mi „do widzenia, dziękuję”, to co ja wtedy zrobię? Tymczasem sprawa wygląda tak, że działacze obiecują pomoc, co ważne, bo roboty widzę przed sobą bardzo dużo.

IJK: — Dzieci?

LT: — Dwoch synów: siedem i dwanaście lat.

IJK: — Będą bokserami?

LT: — Nie wiem.

IJK: — Boksował Pan 18 lat, ale widzę, że jest Pan w całkiem dobrej formie.

LT: — Ja dopiero zaczynam wracać do formy. Przez osiem bodaj miesięcy w ogóle nie pojawiałem się w sali treningowej, no i zacząłem okropnie tyć.

IJK: — Bał się Pan kiedyś na ringu?

LT: — Nie, na ringu nigdy, ale przed walką zawsze odczuwałem treść, byłem podniecony. Ale to przecież normalne.

IJK: — Więc na Olimpiadzie w Meksyku nie obawiał się Pan Foremana? Na takie imprezy Amerykanie wysyłają dobrze wyszkolonych zawodników, ich najlepsi amatorzy, potencjalni kandydaci na medalistów, już na dwa lata przed Olimpiadą nie mogą przejść na zawodowstwo, także dlatego, że ewentualne „złoto” automatycznie lokuje jego zdobywcę na 10 miejscu listy profesjonalistów, co skraca dystans do dużych sukcesów i dużych pieniędzy.

LT: — Dwa miesiące przed Meksykiem Stamm oglądał Foremana podczas turniejów w RFN, w których uczestniczyli Amerykanie. No i ten bokser, zdaniem trenera, żadnej rewelacji nie pokazał. Myślałem, że go przeskoczę, a on tymczasem zrobił sakramenckie postępy. Ale samą walkę wspominam bardzo mile, podobnie jak inny pojedynek, kończący moją karierę: z bokserem radzieckim, Wysockim, podczas turnieju „Gryfa Szczecińskiego”. Wygrałem.

IJK: — W jakich krajach Pan walczył?

LT: — Wszystkich nie wyliczę tak od razu. Powiem tylko, że boksowałem w USA, Meksyku, we Francji, Holandii, Danii, we Włoszech.

IJK: — Skąd Pan pochodzi?

LT: — Z Turbi, wioski odległej od Stalowej Woli o 10 kilometrów. Rozumiem. Oczywiście, gdyby nie boks, nigdy bym tych krajów nie oglądał, nawet posiadając pieniądze. Właśnie możliwość zwiedzenia świata przyciąga młodych do sportu. Inna sprawa, że taki młodzik, jak przyjdzie pierwszy raz do klubu to zaraz pyta: „za ile?”.

IJK: — Grałem kiedyś w tenisa, dwukrotnie startowałem w mistrzostwach Polski juniorów i sam ten fakt był dla mnie wystarczającą zapłatą. „Frema”, którą grałem, ko-

dnoczonych Ameryki Północnej, gdzie są, jak wiadomo, ogromne dołki i wspaniałe autostrady. Wracam Pan do Stalowej Woli, gdzie wszystko jest znacznie mniejsze, w kontekście widzianych niedawno pejzaży — prawie karłowate. No i co?

LT: — No i nic. Ja od początku do końca boksowałem w Stalowej, mimo że miałem niejedną ponętną propozycję przeniesienia się do dużego miasta. Nie skorzystałem. Lubilem i lubię Stalową Wole.

IJK: — A jak tam wiano Lucjana

IJK: Teraz zaczyna Pan jako trener...

LT: — To zupełnie nowa dla mnie sprawa i obecnie nie chciałbym na ten temat więcej mówić, obiecywać coś kibicom „Motoru”. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Mogę tylko dodać, że jestem słuchaczem studium trenerskiego przy wrocławskiej Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego. Przez dwa lata przerobimy — niemal — pięcioletni program normalnych studiów akademickich. Po ukończeniu nauki otrzymam tytuł trenera II klasy.

IJK: — Czym powinien charakteryzować się „material” na dobrego boksera?

LT: — Pracowitością, talentem i żądzią.

IJK: — Musi być zadziora?

LT: — Musi, bo jak nie jest, to porażce lamie się psychicznie i „ma kabelek”, czyli staje się trochę tchórzem.

IJK: — Proszę wymienić nazwiska swoich najtrudniejszych przeciwników.

LT: — Wszyscy byli „najtrudniejsi”, bo wszyscy przerastali mnie warunkami fizycznymi. Ale stu procentowe przygotowanie musiałem mieć do walki z takimi zawodnikami, jak: Husing z RFN, Denderys, Jędrzejewski, Kubacki...

IJK: — Panie Treła, dlaczego ci nasi bokserzy są tacy nierówni? Raz walczą znakomicie, raz wręcz fatalnie?

LT: — Jak ktoś walczy o „czapkę gruszek”, to mu nie zależy. Nie dotyczy to zresztą tylko boksu. Przed i na mistrzostwach świata piłkarze grali znakomicie, bo było dużo pieniędzy. Później skończyły się środki i rozleciała drużyna. Takie jest prawo życia.

IJK: — Dziękuję Panu za szczerą rozmowę. Przy okazji życzę bokserom „Motoru”, aby wreszcie otrzymali do swojej dyspozycji całą salę treningową przy Alejach Zygmuntońskich. Obecnie, kiedy z bokserami ćwiczą równocześnie dżudocy, nie ma mowy o normalnej robocie. W takich warunkach nawet sam Lucjan Treła niewiele chyba zdziała jako trener. Natomiast na temat „czapki gruszek” nie zabieram głosu — bo urodziłem się przed wojną. Drugą.



Fot. Zbigniew Żugaj

szowała raptem 120 złotych. A dziś pętała spalone ze szkółki tenisowej odbijają piłkę „Maxplayami” po trzy tysiące złotych. Ja się chyba starzeję, Panie Treła.

LT: — Każdy teraz jest realny, wie z czego żyje i po co żyje...

IJK: — No tak... Panie Treła, wraca Pan, dajmy na to, że Stanów Zje-

Trele — świetnego boksera, zwyciężcę w 225 pojedynkach?

LT: — Nie zdobyłem medalu olimpijskiego, ani mistrzostwa Europy, więc obyło się bez muzyki. Ale ludzie na ulicy podchodzili do mnie mówiąc: „Lucek, fajnie boksowałeś, dobrze jest”. To dla mnie więcej znaczyło, niż oficjalne kwiaty.

cybernetyki

ces przystosowania wstecznego, który polega na stopniowym osłabieniu i rozkładzie organizacji społecznej; istniejące w społeczeństwie normy zanikają a nowe, korzystne dla społeczeństwa nie wytworzą się. W wyniku procesów przystosowania wstecznego wiele społeczeństw uległo dezorganizacji i zagładzie.

Opisane przez Kosseckiego zjawisko przystosowania wstecznego w homeostacie społecznym znane jest medycynie w homeostatach biologicznych jako choroby z autoagresji, gdzie przeciwciała normalnie występujące przeciwko czynnikom szkodliwym, kierowane są przeciwko własnemu tkankom.

Analiza cybernetyczna systemów społecznych pozwala na wykrycie wielu niejasnych dotąd mechanizmów i jeszcze pełniejsze zrozumienie reguł i zasad gry społecznej. Aby mieć pełny obraz motywacji i bodźców dominujących w danym systemie, wystarczy przeanalizować charakter celów społecznych danego społeczeństwa, hierarchię norm społecznych ze szczególnym uwzględnieniem cenionych najwyżej, rodzaje bodźców jakie najczęściej występują w procesach sterowania, kto spełnia funkcje organizatora i kanału sterowniczego między kierownictwem i wykonawcami i jakie są kryteria awansu.

Rozpatrując z punktu widzenia cybernetyki zjawiska z dziedziny psychologii indywidualnej czy psychologii społecznej, można szczegółowo opisać i odtworzyć szereg procesów dotychczas trudnych do interpretacji poczynając od neuronowych zjawisk elementarnych, których wyjaśnienie służy już w praktyce do modelowania podukładów komputerowych według systemu nerwowego, poprzez opis skutecznego myślenia i procesów rozwiązywania problemów przydatnych w praktyce do uzyskania reguł heurystycznych technicznych problemów optymalizacji, aż do opisanie i poznania najbardziej złożonych zjawisk psychicznych, jak postrzeganie estetyczne, czy też powstawania i rozwoju schizofrenii i depresji.

Centralnym pojęciem cybernetyki jest pojęcie informacji. Termin ten istniał na długo przed pojawieniem się cybernetyki i określał realną wiado-

mość niezależnie od stopnia jej ważności. Nieustanny obieg strumienia informacji ma zasadnicze znaczenie dla właściwego funkcjonowania organizmu ludzkiego — np. cukier z pożywienia, gdy przedostaje się do krwi i przekracza fizjologiczny poziom, stanowi informację dla czynników regulacyjnych zamieniających go w wątrobie w glikogen. W homeostacie społecznym, jakim jest społeczeństwo, informacją jest zarówno podana w gazetach wiadomość o zmianie rozkładu jazdy pociągów czy utworzeniu nowego kierunku studiów, jak i wiadomość przekazana z gminy do władz wojewódzkich o stopniu przygotowań do siewów lub zbiorów, awarii w zakładzie produkcyjnym, czy możliwości podjęcia dodatkowej produkcji.

Ośrodki kierownicze nowoczesnego społeczeństwa, rząd czy poszczególne ministerstwa, przed podjęciem każdej decyzji zarówno gospodarczej jak politycznej czy też technicznej muszą zbierać i przetwarzać coraz większe ilości informacji. Każda bowiem decyzja podjęta w jakiejś określonej dziedzinie życia społecznego wywołuje różnorakie skutki nie tylko w dziedzinie, której bezpośrednio dotyczy, ale i w wielu innych dziedzinach. Uwzględnienie wszystkich możliwych skutków i uzgodnienie konkretnej decyzji z wieloma innymi decyzjami w innych dziedzinach życia społecznego wymaga czasu określanego przez cybernetykę jako „czas decyzyjny”.

Nowoczesne, uprzemysłowione społeczeństwa stają się coraz bardziej złożonymi układami, gdzie podejmowanie decyzji przez ośrodki kierownicze wymaga analizy coraz większej ilości informacji i szeregu możliwych skutków. Mimo zastosowania informatyki do opracowania danych okazuje się, że czas decyzyjny staje się coraz dłuższy niż czas wykonywania przez ośrodki wykonawcze odpowiednich działań społecznych, których decyzja dotyczy. Można więc z całą pewnością stwierdzić, że czas decyzyjny i wydajność decyzyjna ośrodków kierowniczych stanowią w niedalekiej przyszłości zasadniczymi czynnikami, od którego będzie zależeć wydajność społeczeństwa i jego poziom życia — jako układu zorganizowanego.

Poszukiwanie takiej struktury organizacyjnej, która zapewni centralnemu ośrodkowi kierowniczemu maksymalizację wydajności decyzyjnej, czyli najmniejszą ilość czasu, jaka potrzebna jest do podjęcia decyzji, staje się jednym z zasadniczych warunków dynamiki społecznego rozwoju.

Jeżeli będzie się rozpatrywać ten problem z punktu widzenia cybernetyki i za centralny ośrodek kierowniczy przyjmie się ministerstwo lub cały rząd, zaś za podstawowe ośrodki wykonawcze, decydujące o zorganizowanym układzie społecznym — gminy, spełniając warunek stabilności struktury społecznej drugiego rodzaju, jako warunek polityczny, z wzoru na minimalny czas decyzyjny:

$$\min_{c} t_d = \min_{c} \left[\frac{c \cdot n! \cdot k!}{c} \right] = \min_{c} \left[\frac{c \cdot n! \cdot \left(\frac{m}{n}\right)!}{c} \right] \Rightarrow n = \sqrt{m}$$

można obliczyć ilość pośrednich ośrodków kierowniczych przy danej liczbie gmin $m = 2365$ (taka była liczba gmin w Polsce wg. Rocznika statystycznego GUS z r. 1974). Optymalna liczba województw n zapewniająca maksymalną wydajność decyzyjną wynosić powinna

$$n = \sqrt{2365} \approx 49$$

Tak więc mamy 49 województw a odpowiedź na pytanie, jaka ma być struktura administracyjna nowoczesnej Polski, dała cybernetyka.

Jacek Gładzowski

SŁOWNIK

Heurystyka — metoda rozwiązywania problemów. Umiejętność odkrywania nowych prawd przez odpowiednie stawianie hipotez, traktująca naturę świata i naturę poznania w dialektycznym ujęciu ich wzajemnych zależności. Pochodzi z greckiego „heureka” — znalazłem. Według dawnej anegdotali miał to być okrzyk Archimidesa biegnącego nago do domu z łaźni, w której udało mu się odkryć i sformułować prawo wyporu hydrostatycznego, nazwane później prawem Archimidesa. Współczesna heurystyka, której twórcą jest G. Polya, odkrywa ogólne metody rozwiązywania problemów danej klasy, a następnie uogólnia wiedzę o tych metodach.

Prakseologia — nauka o normach, metodach i teoriach sprawnego i skutecznego działania. Jednym z jej twórców i czołowych przedstawicieli jest T. Kotarbiński.

Homeostaza — stan układu zapewniający mu utrzymanie określonych wielkości w dopuszczalnych granicach. Zachowanie stanu równowagi procesów życiowych przez organizmy biologiczne niezależnie od wpływów otoczenia dzięki istnieniu mechanizmów regulacyjnych związanych głównie z czynnością układu nerwowego i dokrewnego działających na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Odnosi się do wszystkich układów cybernetycznych, a więc biologicznych, społecznych, mechanicznych itp.

Piotr Grauman

PRZEDWIOŚNIE

Bezpańskie psy rozszarpuje siedemnaście drgnień włosy
Przyjaciele czekający przed domem dobywają chleb i sól
Jaki chłód w liściach daleko
Jako mgła bliska
Jako para z ust
To jest to co tkwi doskonale w kościach
To krąży w konarach drzew wymarłych nagością na
dzisiejszy dzień

To mówi samo o sobie
Wtedy jest czas
Zamykasz okna i płonie cały tytuł świata
Ludzie oderwani od ludzi i przyklejeni do murów
Ludzie oderwani od murów i lepiący się w wędrownie
trupy chmur
Przedmieścia komentujące się najdokładniej mądrością
wymarlego

ludu
Wrzawa zwalczająca się na placu śródmiejskim
Wtedy jest czas
Zamykasz drzwi i z bronią u nogi czujnie wychodzisz
przed dom
Na wiecznym niebie sprawdzasz że nic nie ucieka
nic nie umyka

nic nie upływa ci z czasem
Ale że to ty płyniesz w czasie
I któregoś dnia (może jutro może nigdy może to przez
ciebie)

Krzyknij właśnie to

DZIEŃ KOBIEC

Wszystkie kobiety świata wyjdą przed dom
Wszyscy mężczyźni świata wrócą z opuszczonym czołem
Nie przyniosą kwiatów na tarczy
Nie przyniosą także siebie
Ich dzieci będą się bawić w opuszczonych ogrodach
Gdzie stojąc niemo będą schnąć i obumierać kwiaty
Tego dnia wszystkie ulice świata będą płakać deszczem
Opadającym z nieba płatkami czerwonych róż
To będzie rewolucja
I wszyscy mężczyźni położą się twarzą do ziemi
A kobiety świata
Jak kwiaty
Będą stać prosto ścięte zwiędną uschną i z płaczem
uniosą

się na wietrze
A na wiosnę
Urosną mimo wszystko



DOJRZAŁOŚĆ

Motto:
„A najstraszniejsze widzieliście?
MejĄ twarz
kiedy jestem
zupełnie spokojny?”
(Władysław Majkowski)

Już mi lepiej
(Bóg nawet wie o tym)
jesień pachnie tuberkuliną
wiersz niepewnie wygląda przez okno
jakby ledwie od słów się wywinął
taką porą zdarza się
niewiele
poncjusz pilat znaków nie czyni

włos na skroni niby popielec
wróży bliski dostatek
zimy

coraz ciśnieć i
coraz mi ciemniej
loda skutek widzę podwójnie
z iskier startych krzemieniem o
krzemień
słuch i mowę wydestylują

tak dojrzałość wchodzi do
mieszkania

byłem gościem
zostanę wiorstą

a żywiły zgaszone w pół zdania
czarcim śmiechem znów się zanoszą

Marian Janusz Kawałko

NEUTRINO

powiedz mi
przyjacielu tania nieobecny
dlaczego tylu zmarłych straszy w wierszach twoich
że nawet nie mam komu przyznać lub
zaprzeczyć

czy sam jesteś umarty czy
żywych się boisz

powiedz mi
przyjacielu tania luksusowy
czemu w lirycznym domu ciebie ciągle nie ma

inne nosisz już fletnie
zgasły celne mowy
którymi uzdrawiałeś
wyblakł nurt i temat

powiedz mi
przyjacielu tania ulizany
czy umiesz choćby przeczuć niepokój skazańca
albo wskazać w ciemności kolor bardziej
czarny
czy grasz wciąż jedną nutę do każdego
tańca

powiedz
dla kogo milczysz biegle jednostajnie
czyje nosisz w zanadrzu nadpalone psalmy
dokąd wiedzie cię pióra a dokąd
pozwanie
kiedyż wyjrzyś zza oczu jak zza pustej
ramy
umarłych coraz więcej tani przyjacielu
oni zwolnią cię zawsze z otwartej spowiedzi

spadasz z nieskończoności
rozrzutnie
do
zera
bo choć psy źle szczekają
twój
karawan
jedzie

POWRÓT PŁATONOWA SONET

wróciłem znowu
mama
nie pytaj dlaczego
to co z gniazda zabrałem
dawno wyprzedane
za mało mi stron świata
wciąż szukam
niczego
z przykazań twych pamiętam
nie więcej niż
amen

powróciłem

pod płytą popiół wiatru słucha
październik płoszy w sędzie strąfy Jesienina
tyłek tu mego trwania co rozbić rostruchan

ktoś niewidzialne sieci na progu rozpina

coraz mi trudniej zejść
o swoim
i cudzym
szkarłat ma kolor trefli
tlen we krwi się warzy

trzeba więc karła udać
być mchem w dzikiej studni

nie płacz mama
lęk uspij
szkoda lez i
twarzy

a gdybym psom nie uszedł
lub poddał się
złudzie
nie mów o tym nikomu

przemilczmy to razem

Ze zbioru „Moje wesole miasteczko”
mającego się wkrótce ukazać nakładem
Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”.

Kto ujawni tajemnicę dywersyjno — partyzanckiej grupy „Grom”?

ZAMIESZCZAMY obok na str. 7 relację nieznane go autora, która ukazała się w lutym 1942 r. w 35 numerze konspiracyjnego pisma wydawanego w Warszawie o nazwie „Zolnierz Polski w drugiej Wojnie Światowej (dawniej Zolnierz Polski w Kampanii Wrześniowej)”. Numer ten znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum w Kraśniku. Przytoczony tekst z różnych względów jest intrygujący i ma wręcz sensacyjną wymowę. Oświetla on bowiem okoliczności powstania i wejścia do walki pierwszego chyba w dziejach II wojny światowej oddziału o charakterze partyzanckim. Szereg faktów w nim podanych wskazuje wyraźnie, że chyba nie może być tu mowy o pastiszu stworzonym „dla pokrępienia sere”. Po dłuższych rozważaniach i konsultacjach (m. in. z tropiącym ślady pierwszych poczynań ruchu oporu na Lubelszczyźnie Leszkiem Siemionem), wobec niemożliwości samodzielnego zweryfikowania tego tekstu, pozostało mi zwrócić się do czytelników „Kamery” z apelem o pomoc w tej zagadkowej sprawie. Kto wie cokolwiek na temat podanych niżej faktów? Może

ktos z mieszkańców Chelma, Chomęcisk i Sitańca udzieli w tej sprawie wyjaśnień?

Sprawa jest o tyle istotna, że dotychczas, mimo gorączkowych poszukiwań, prawie nie wiemy o tym ważnym zjawisku jakim było przechodzenie z walk frontowych do walk partyzanckich, co przejawiało się z tak wielką siłą na Kielecczyźnie (zgrupowanie Hubala). Intryguje nas ogromnie kim naprawdę byli członkowie grupy dywersyjnej „Grom”? Nie można wykluczyć, że we wrześniowym eposie i wierszowatym kryminalnym przejawiali nagły wybuch świadomości patriotycznej i nienawiści do wroga.

Przeczytajcie więc ten tekst i napiszcie do redakcji! A może ktoś zapamiętał lub posiada jakieś przekazy o formowaniu jeszcze innych grup tego rodzaju? Wiadomo bowiem, że niektórzy dowódcy Wojska Polskiego w kampanii wrześniowej mieli na wypadek konieczności cofania się pozostawiać grupy dywersyjne na tyłach wroga. Czekamy na informacje i w tej intrygującej sprawie.

Zygmunt Mańkowski

WSZYSCY wiemy, że nowe województwa mają na głowie tysiąc i jeden problemów do szybkiego rozwiązania. A to nie tylko z powodu zaległości okresów poprzednich, gdy ze stolic dawnych województw nie zawsze widziano potrzeby dalekiego terenu, ale także dlatego, że potrzeby, zainteresowania, życzenia nas wszystkich rosną szybciej niż możliwości. Co więc z owego tysiąca problemów wybrać do wcześniejszej realizacji, a co przesunąć na jutro? Wybór nie jest łatwy i cokolwiek się tu zdecydować, zawsze znajdują się ludzie którym coś tam nie będzie się podobało.

Zainteresowanie społeczeństwa województwem zamojskim, zwłaszcza z dalszych regionów kraju, koncentruje się od lat na sprawie rewaloryzacji Starego Miasta w samym Zamościu. A przecież nie tylko tym żyje się w województwie. Jak w małym, którym, właśnie tu sprawy kultury, codziennej działalności kulturalnej zostały postawione na jednym z pierwszych miejsc. Zwłaszcza jeżeli chodzi o środowisko wiejskie, bo w miastach mieszka tylko 29 proc. ludności.

O wysokiej randze, jaką nadano sprawom kultury świadczy chociażby fakt, że w ciągu niespełna dwóch lat od czasu utworzenia województwa egzekutywa KW PZPR zajmowała się nimi pięć razy, a sekretariat KW siedem razy. Omawiano m. in. ogólny program rozwoju kultury aż do roku 1990, rzeźwistą a nie statystyczną działalność w środowiskach wiejskich, ruch amatorski, bibliotekarstwo czy sprawy poligrafii, która w tej chwili praktycznie prawie nie istnieje.

Myślę, że do dobrych prognozyków należy zaliczyć to, iż zarówno na tzw. szczeblu wojewódzkim i gminnym postawiono przede wszystkim na ludzi młodych. Może nie mają jeszcze pełnej sumy doświadczeń, niewątpliwie popełnią takie czy inne błędy, ale z jednej strony nie popadli jeszcze w rutynę, a z drugiej są pełni inicjatyw, rzeczywiście angażują się w to wszystko, co robią lub robić zamierzają.

O wojewódzkim programie rozwoju kultury na lata 1975—1990 pisaliśmy dość szczegółowo pod koniec roku 1975, zaraz po jego uchwaleniu. Może warto tylko przypomnieć, że jest on bardzo szeroki, konkretny i odpowiadający naszym wyobrażeniom o tym, co będzie potrzebne za lat pięć czy dziesięć. Ale najważniejsze jest to, iż jego realizacja przebiega, jak dotąd, zgodnie z przewidywaniami, a na niektórych odcinkach nawet szybciej, niż to wtedy określono. W roku ubiegłym dokonano już pierwszego bilansu tej realizacji i właśnie teraz zbiera się materiały do ponownej oceny.

Jeżeli chodzi o realizację zaczynamy może od rzeczy pozornie przyziemnej, a przecież koniecznej — pieniędzy. Tegoroczny budżet Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego wynosi 50 mln zł — o 22 proc. więcej niż w roku ubiegłym, a prawie dwa razy więcej niż w roku 1975. A wojewoda oświadczył oficjalnie, że jeżeli wyłoni się jakaś pilna potrzeba dodatkowa, budżet zostanie odpowiednio zwiększony. I nie jest to tylko obietnica — w roku ub. Urząd Wojewódzki dofinansował np. badania archeologiczne w Czermnie, gdzie

podobno mieściła się niegdyś stolica Grodów Czerwińskich.

Z dość długiej już listy wykonanych zamierzeń wymienimy chociażby kilka: Muzeum Okręgowe po latach lokalowego niedostatku otrzymuje całą północną pierzeję Rynku Wielkiego, gdzie znajduje się wreszcie miejsce m. in. na pokazanie bogatych zbiorów archeologicznych oraz galerii malarstwa polskiego. W dawnym arsenale, z którym od lat nie wiadomo co zrobić, powstanie wreszcie muzeum broni. W Hrubieszow-

wiedzieć, ale i współuczestnictwem. Przeciętą frekwencją w placówkach kulturalnych imprezach była w roku ub. dwa razy większa niż w 1974 r.

Są wśród tych imprez zupełnie nowe, godne przeniesienia na inne tereny. Np. turniej klubów. Jest ich w województwie już 227 — Rucha, Hoinika i nieco innych. Nie będą to jednak turnieje o charakterze konkursu, z eliminacjami i finałem. Klub reprezentujący wszelką działalność kulturalną w swoim regionie, poprzez radę społeczną zorganizuje wyjazd do sąsiedniego klubu, gdzie oba przedstawia ludności swój dorobek. Po mieście czy dwóch — rewizyta. Nie ulega wątpliwości, że ta forma współzawodnictwa wyzwoili wiele inicjatyw, podnieśli poziom zes-

Książki nie są dziś najtańszym artykułem, bo ich cena wynika z prostej kalkulacji, a nie dofinansowywania z różnych źródeł. Ale i tu kłosa wojewódzka okazała się hojna. W roku ub. na zakup książek otrzymano z niej 1,2 mln zł, w tym już 2 mln. Do tej pierwszej sumy doszedł okrągły milion z różnych zakładów przemysłowych, instytucji i organizacji, dojdzie zapewne i w tym. Dzięki temu w roku 1975 biblioteki wzbogaciły się o 63 tys. woluminów, w ubiegłym o 74 tys. bieżący zapowiada 85 tys.

Gdyby to ode mnie zależało, zorganizowałbym w zamojskim POM-ie seminarium dla dyrektorów zakładów przemysłowych nie tylko z województwa zamojskiego. Na uzasadnienie przytoczę tylko jedno powiedzenie dyrektora POM inż. Władysława Ostasza: „Ja muszę dbać przede wszystkim o produkcję, ale nie widzę produkcji bez kultury i to bardzo szeroko rozumianej. Wolę, aby po południu pracownik przeczytał książkę lub gazetę, potańczył lub pograł w piłkę, niż następnego dnia przyszedł do roboty z kacem”.

Nie więc dziwnego, że jest piękna świetlica, na której urządzenie i wyposażenie POM wydał ponad 2 mln zł. Kierowniczka otrzymuje po pracy większe od przeciętnej w zakładzie, zatrudniającym przecież dobrych fachowców. Do chóru obok robotników należą kilku kierowników działów, sekretarz rady zakładowej i przewodniczący Rady Robotniczej. Istnieje zespół taneczny i wokalny z medalami zdobytymi w kraju i zagranicą oraz kilka recytatorskie. Odbijają się wystawy BWA. Zaprenumerowano 68 tytułów pism. Cwiczą dwie drużyny piłki nożnej sekcja motorowa, koło wędkarskie... Na i co roku POM przekracza plany remontów i produkcji. „Właśnie dlatego” — uzupełni dyrektor.

Trudno jednak pisać o Zamościu nie wspominając chociaż krótko o rewaloryzacji Starego Miasta. Jak pamiętamy, władze miejskie zapowiedziały, że na 400-lecie miasta, to jest w roku 1980, będzie całkowicie odnowiony Rynek Wielki. Czy to się uda — trudno dziś przewidzieć. Przede wszystkim zależy to od napływu fachowców i możliwości zdobycia materiałów budowlanych. Pierwsza sprawa rozwiązuje się pomysłowo, dla ludzi potrzebnych mieszkania znajdują się niemal od ręki. Gorzej z drugą, mimo że istnieje tu porozumienie, podpisane aż przez pięciu ministrów...

Udało się też rozwiązać bardzo kłopotliwy od wielu lat problem sporządzenia dokumentacji. Będą ją robiły biura podległe naczelnemu zarządowi Pracowni Konserwacji Zabytków, do czego zobowiązał się dyrektor tej instytucji. Młodemu oddziałowi PKZ w Zamościu pomagają w różny sposób bratnie pracownie z Lublina, Warszawy, Rzeszowa, Krakowa, a nawet Szczecina. Latem prawie wszystkie oddziały mają przysłać ekipy wykonawcze — co oby stało się rzeczywistością. Powstaje na miejscu pracownia snycerska, buduje się wreszcie suszarnię drewna, przybywa sprzęt, wciąż szkoli się fachowcy. Dla odmiany w tej chwili nie widać nawet możliwości przeniesienia znajdujących się w samym centrum szkół.

Ale pożyjemy i zobaczymy. Na miejscu jest wielu optymistów, a to też ma swoją wartość.

Województwo pełne inicjatyw

Jerzy Dostatni

wie organizuje się już oddział Pracowni Konserwacji Zabytków. Wyprowadzono wreszcie wszystkich lokatorów z pałacyku w tym mieście, w którym po zakończeniu remontu znajdą się muzeum i biblioteka. Z lokali, opróżnionych po zlikwidowanych urzędach powiatowych w Tomaszowie, około 400 m kwadr. otrzymały muzeum i biblioteka. Ponad 20 pracowników kultury namówiono do studiowania na wyższych uczelniach. W roku ub. występowały gościnnie dwa teatry, w tym roku przyjedzie pięć. Rozpoczęto remont cerkwi w Hrubieszowie oraz drewnianego kościoła w Tarnogrodzie. W Biłgoraju oddano do użytku zabytkową zagrodę siatarską, zaczęto remont zabytkowego zespołu młyńskiego. Nowe władze Stowarzyszenia Orkiestry Namysłowskiego zaczęły już działania celem odnowienia zespołu oraz podniesienia kwalifikacji jej członków...

Mamy przed sobą „Kalendarz imprez kulturalnych” na rok bieżący. Rzecz doprawdy imponująca. Dział „Konkursy, przeglądy, festiwale, turnieje” obejmuje 30 imprez, w tym jedną ogólnopolską i jedną międzywojewódzką. Wystawy i pienery to 43 pozycje, inne imprezy o charakterze kulturalnym — 24, wreszcie 10 imprez specjalnych dla uczczenia 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Nawet jeżeli nie dopisze jeden z szesnastu organizatorów, jeżeli nie odbędzie się taka czy inna impreza — całe przedsięwzięcie godne jest pochwały. A najważniejsze jest chyba to, że owa działalność kulturalna przyjmowana jest przez społeczeństwo nie tylko z coraz większym zainteresowaniem, jak to można gładko po-

polów amatorskich, zachęca do dalszej pracy. A o to przecież chodzi. Albo, w ramach sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką — wyjazdy (w wolne soboty) zespołów artystycznych fabryki do klubu w terenie. Kultura połączona z rekreacją — i znowu współzawodnictwo.

Bardzo też podoba mi się akcja, podejmowana przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Zamościu. Chodzi mianowicie o to, aby biblioteki szkolne przekształcić na szkolno-publiczne. To znaczy jedne i drugie dostępne dla wszystkich chętnych. We wszystkich bibliotekach jest tylko 900 tys. woluminów, trudno więc zgodzić się z tym, aby okazała ich część była dostępna dla ograniczonej liczby potencjalnych czy rzeczywistych czytelników. Prawda, że prawie trzecią część zarejestrowanych czytelników stanowią dzieci i młodzież do lat 14, a więc szkoły. Ale już następne cztery roczniki to dalsze 20 proc. czytelników.

Jak wszędzie w Polsce, jest bardzo duże zapotrzebowanie na książki popularno-naukowe. Wzrasta także zainteresowanie książką rolniczą, co w obecnej sytuacji — i na przyszłość też — jest bardzo pożądane. Tymczasem w bibliotekach część książek z tych dziedzin jest przestarzała, nie wspomina nawet o wielu odkryciach i wynalazkach, które weszły już do życia codziennego. Trzeba te książki eliminować, bo zamiast pomagać — nieraz ha-

DZIAŁANIA NASZEGO ODDZIAŁU DYWERSYJNEGO NA LUBELSZCZYŹNIE Relacja podporucznika dowódcy oddziału

Z przyczyn natury specjalnej do 10 września nie zostałem zmobilizowany do służby czynnej. Z chwili, gdy te przyczyny według mnie odpadły, niezwłocznie udałem się na poszukiwanie odpowiedniej formacji, gdyż mój oddział macierzysty był już dla mnie nieosiągalny. Po różnych chybionych próbach zameldowałem się wreszcie 10 września w Chelmie w grupie pułkownika Szalewicz, który, po dłuższej rozmowie ze mną, dał mi pisemne zezwolenie na zorganizowanie oddziału dywersyjnego pod nazwą „Grupa Grom”. Poza zezwoleniem otrzymałem 4 skrzynie amunicji karabinowej i granatów ręcznych, 50 karabinów, ładownice, parabellum dla mnie po straconym lotniku niemieckim, 1000 złotych z kasy 10 p. i rozkaz udania się do powiatu jarosławskiego, jako dobrze znanego mi. Wziąłem podwodę i udałem się na poszukiwanie ochotników do mego oddziału. Po drodze zwerbowałem oderwanych od mego oddziału plutonowego i kaprala, a następnie spotkałem grupę około 40 więźniów kryminalnych (przeważnie odsiadujących wyroki długoterminowe), ewakuowanych z Wronki i maszerujących bez eskorty na wachód. Zapropnowałem im wstąpienie do mego oddziału, na co zgodziło się 31, czyli wszyscy prócz kilku. Razem było nas już 36 — wszyscy ubrani po cywilnemu. Droga, którą dotychczas odbyłem, szła z Chelma przez Siennicę Różaną,

Wierchowiny, Krasne pod Zamość na niemiecką kolonię Sitancę oraz Chomęciska. Niedaleko od tych ostatnich spotkany po drodze chłop poinformował nas, że w pobliskim lasu są Niemcy — 2 czołgi, 3 ckm i reflektor. Rano 13 września rozpoznanie terenu, wieczorem atak na owych Niemców w lasu. Dzielę oddział na 2 części: jedna zachodzi od tyłu, drugą prowadzę od przodu. Podeszliśmy już na kilkadziesiąt kroków do lasu, gdy jeden z moich ludzi wywrócił się w kartofliaku. Na ten hałas zabłysnął reflektor i otworzył ogień ckm-y. Wszyscy nie zważając na ogień, ruszyliśmy wprost na nieprzyjaciela. Rzuciliśmy zapalone butelki na czołgi, z których jeden buchnął natychmiast płomieniem jak pochodnia, drugi nieco później. Z pierwszego wyskoczył żołnierz nadziewając się na nasze bagnety. W drugim zatopła usmażyła się żywcem. Trzech zabililiśmy przy ckm-ie, jednego przy reflektorze. Ilo było — nie wiem. Z moich ludzi straciłem dwóch: jeden zabity, jeden ciężko ranny w brzuch, który zmarł następnego dnia w chacie.

Rano wróciłem do Chomęcisk, gdzie przespaliśmy się. Wstając otrzymaliśmy wiadomość, że niedaleko w chatupie Niemca kolonisty jest 2 żołnierzy niem. Udał się tam wieczór (14 IX) w pięciu i otoczyliśmy chatupę. Pukamy do drzwi. Kolonista pyta: „Wer da?” — „Otwieraj, nie pytaj!”. Nie czekając wytamujemy drzwi i wpadamy. Jeden Niemiec chciał uciec przez okno i nadział się na bagnety stojących za nim, drugi wlał pod pierzynę do żony kolonisty. [...] Zabiliśmy wóz i parę koni a zagrodę podpalił. [...] Cała ta operacja moim więźniom poszła niezwykle sprawnie. Nocą idziemy szosą na Mokre. Na 5-tym km przed Zamościem, w pobliżu skrzyżowania szosy z linią kolejową, spotykamy patrol nie-

miecki: jeden motocyklista z siedzącym za nim na siadaku i trzech cyklistów. Zastrzeliliśmy cyklistów i tego z tyłu. Motocyklista ostrzeżliwiejąc się z pistoletu, uciekł do Zamościa, w którym byli już Niemcy. Zeszliśmy z szosy i odpoczywaliśmy we wsi, której nazwy nie pamiętam. Wieczorem 15-go dalej. Było już zupełnie ciemno, gdy spotkaliśmy niemiecki samochód pancerny. Zatrzymaliśmy go granatami ręcznymi, on otworzył ogień. Zanim przebiegliśmy kilkadziesiąt kroków 9-ciu naszych padło. Zalogę — 8 ludzi wybiliśmy, a samochód zniszczyliśmy. Na jego szczątkach, podobnie jak na zniszczonych czołgach i reflektorze wypisaliśmy kredą: „Grom”. Wracamy na szosę do Mokrej. Pod wioską sprzątnęliśmy placówkę niemiecką — 3 ludzi. W strzelaninie padło dwóch naszych. 16 IX odpoczęliśmy w Chomęciskach, gdzieśmy się dowiedzieli, że w sąsiednich Sitancach kwaterują w kolonistów żołnierze niemieccy. W nocy z 16 na 17 IX otoczyliśmy Sitancę [...] Z planujących domów wyskakiwali Niemcy, stanowiąc dobry cel. Walka trwała ze trzy kwadranse. Niemcy zdolali uruchomić 3 ckm, w ogniu których stracił 7 naszych. Poległych Niemców nie mogliśmy zliczyć, ale było ich niewątpliwie więcej, ponieważ mieliśmy ich jak na dłoni, oświetlonych przez pożar. Musiało się też ich popiec sporo w ogniu.

Oddział nasz znalazł się już właściwie u kresu swego istnienia, ponieważ z 35 ludzi zostało już tylko 9. Z broni natomiast nie straciliśmy nic gdyż na wozie wieźliśmy wszystkie karabiny po poległych.

A więc i Lublin ma swój studencki kabaret literacki — pisał Marian Brandys w „Nowej Kulturze” z 14 lipca 1957 r. — W piwnicach historycznej kamieniczki w Rynku, o krok od wyniosłej ściany Kościoła Dominikanów, studenteria lubelska zmagajowała sobie teatrzyk, mogący śmiało rywalizować z osławioną piwnicą krakowską. Tu następował opis „piwnicznej” atmosfery, w której grupa ludzi ubranych w czarne swetry, przy blasku świec dawała występy, przyjmowane z entuzjazmem przez jednych, a ze zgrozą przez innych mieszkańców Lublina. Chodziło o kabaret „Sex”, który wiosną 1957 r. założyliśmy z Olkiem Gabrusiewiczem i Zbyskiem Domarańczykiem w zabytkowych pomieszczeniach staromiejskiej winiarni, przekazanej przez miasto studentom, w celu utworzenia tam kawiarni o zamkniętym, klubowym charakterze.

BYLA to jedna z pierwszych w Polsce — po krakowskiej Piwnicy „Pod Baranami” i warszawskim „Manekinie” — piwnic tego rodzaju, a kabaret „Sex”, jednym z pierwszych „eksperymentalnych” teatrzyków w kraju, i to bardzo specyficznym, bo od początku związanym, w znacznej mierze, z najbardziej awangardowym środowiskiem plastycznym, które w Lublinie reprezentowała Grupa „Zamek”. Wybuch teatralnego ruchu studenckiego, zapoczątkowanego przez słynny już wtedy „Bim-Bom” z Gdańska, warszawski STS i krakowską „Piwnicę” — miał nastąpić dopiero za rok. Przecież np. wrocławski „Kalambur” został założony dopiero pod koniec 1957 r. „Sex” istniał równo rok i dał w tym czasie cztery programy, a jeżeli prawie się o nim nie wspomina w historii studenckiego teatru, to może dzieje się tak dlatego, że „Sex” nie podkreślał nigdy swojej „studenckości”, a w szóstym miesiącu istnienia odszedł z lubelskiej Piwnicy Studenckiej do Klubu Pracowników Kultury (obecnego klubu „Nora”) przy Krakowskim Przedmieściu 32. Z racji swoich plastycznych powiązań „Sex” skłaniał się ku formom teatralnym i kabaretowym powstałym w Krakowie, ale niemały wpływ miał na niego i warszawski „Teatr Osobny” Mirona Białoszewskiego oraz atmosfera Klubu „Krzywego Koła”, którą przeszczepiał na tutejszy grunt krążący między Warszawą i Lublinem, młody krytyk sztuki, Jerzy Ludwiński.

Przed wszystkim zaś trzeba pamiętać, że „Sex” mieścił się w centrum nurtu niezwykle aktywnego i burzliwego życia kulturalnego i artystycznego, jakim charakteryzował się Lublin w ciągu 1956 i 1957 r. Byliśmy chyba wówczas jednym z najbardziej aktywnych środowisk kulturalnych w Polsce. Klub Młodej Inteligencji, powstałe pod koniec 1956 r. pismo „Pod wiatr”, Grupa „Zamek”, Lubelski Dyskusyjny Klub Filmowy z Zygmuntem Mańkowskim na czele, ożywienie zaznaczające się w działalności Teatru im. Osterwy i Teatru Muzycznego, to wszystko sprawiało, że senny dotąd i bardzo prowincjonalny Lublin zaczął przybysów ze stolicy czy z Krakowa. Wielką rolę odegrał Klub Pracowników Kultury, który „integrował” środowisko — choć wówczas jeszcze tego określenia nie znano — a ogromny wpływ na kształtowanie się nowego oblicza miasta miał bez wątpienia fakt powstania „Kuriera Lubelskiego”, którego pierwszy numer ukazał się 24 marca 1957 r.

Na powstanie „Sexu” miały wpływ trzy zasadnicze czynniki: rozpadnięcie się Kółka Dramatycznego przy UMCS (w którym od dwóch lat działałem), bo przestała nas wszystkich interesować sprawa amatorskiego powielania przestarzałych wzorów teatru zawodowego; związane się z Klubem Młodej Inteligencji i zafascynowanie awangardową literaturą i plastyką, oraz... pojawienie się w Lublinie Zbyska Domarańczyka i Majki Zamoyskiej, którzy przyjechali tutaj z Krakowa żeby studiować romanistykę. „Domarańczyk” opowiadał w klubie „Nora” cuda o krakowskim środowisku artystycznym, o Piotrze Skrzyńskim i Sławomirze Mrożku, o działalności Piwnicy „Pod Baranami” a „przebić” w opowiadaniach potrafił go jedynie młody poeta lubelski, zawieszony między Warszawą i Lublinem, Andrzej Tchórzewski, gdy rozłączał przed nami pejzaże swych powiązań z Mironem Białoszewskim. Wkrótce też pojawił się w Lublinie

młody scenograf, absolwent Akademii Plastycznej w Krakowie, Krzysztof Pankiewicz, który w Teatrze Osterwy robił dekoracje do sztuki Suttona Vane'a „Ostatni rejs”, i który wniósł ze sobą coś z atmosfery Piwnicy „Pod Baranami” gdzie występował oraz teatrzyku „Cricot II” Tadeusza Kantora. Przy-

wiół też Krzysztof z Krakowa tekst: „Sprośny kaczer Symeon. Współczesna powieść afirmatywna”, który był — jak twierdził — wykonywany w krakowskiej Piwnicy, i który również w Piwnicy lubelskiej cieszył się wielkim powodzeniem. Do tej pory nie wiem, czy to był tekst Witkacego, czy też jego parodia, i kto był ostatecznie autorem. W każdym razie, ze względu na swoją groteskowość, pure-nonsense, a przede wszystkim... „jędrność” języka, „Symeon” stale budził zachwyty kabaretowej publiczności.

Pozostawaliśmy wówczas pod wrażeniem świeżo odkrywanych — Witkacego, Gombrowicza, Brunona Jasińskiego, Mirona Białoszewskiego, więc zupełnie zrozumieliśmy, że przede wszystkim ich utwory znalazły się w programie nowo powstającego kabaretu. Zachłystywaliśmy się surrealizmem, abstrakcjonizmem, taksyzmem, groteską, pure-nonsensem, to znaczy tym wszystkim, co jeszcze do niedawna nie przychodziło nam nawet na myśl. Miało na nas też bez wątpienia wpływ to, co czytaliśmy o egzystencjalizmie i o rozjarzonych światłami świec piwnicznych Saint Germain. Ale przede wszystkim byliśmy młodzi, „zbuntowani”, „bezprizorni”, poszukujący swojego miejsca w życiu i w sztuce. Dlate-

który w miarę możliwości „zetepowskiej” kieszeni, pomagał nam w wydatkach związanych z uruchomieniem kabaretu. Pamiętam, że przede wszystkim potrzebowałam wielkiej ilości świec i... siedmiu par bardzo wąskich, sztruksowych spodni, i to wszystko zostało „od ręki” zalatwione. Wygrzebano też skądś strasznie stare i strasznie rozstrojone pianino, które jakimś cudem staszczono na same dno Piwnicy. To pianino, w dusznej i wilgotnej atmosferze Piwnicy coraz bardziej gnilo i rdzewiało, ale nam to było nawet na rękę, bo nadawało to muzyce odpowiedniego „wyrazu”.

Tymczasem nadszedł kwiecień i w dawnej winiarni robiono już ostatnie pociągnięcia pędzla. Nie jest to żadna przenośnia. Wnętrze Piwnicy zostało pomalowane przez członków powstałej właśnie w marcu Grupy „Zamek”. W salce bufetowej Tytus Dzieduszycki stworzył wielką abstrakcyjną kompozycję, w niżej położonej salce Przemek Zwoliński u-

recki — student weterynarii, Zbigniew Domarańczyk — student romanistyki, Aleksander Gabrusiewicz — student polonistyki, Iwo Wojciechowski — magister biologii, asystent na UMCS i Andrzej Zmigradzki, akompaniator — student prawa. Do tego jeszcze dochodzili „stali współpracownicy”: Andrzej Tchórzewski, poeta — student wielu różnych wydziałów (w tym: polonistyki UMCS, dziennikarskiego UW, a na koniec — socjologii UW), dostarczający tekstów kabaretowych oraz Tytus Dzieduszycki — magister biologii (specjalność: bobry), plastyk z Grupy „Zamek” i poeta, który zresztą wkrótce wszedł w skład kabaretu i zaczął poważnie oddziaływać na jego profil. Jak widać, towarzystwo było dość zróżnicowane, ale tak też kształtował się skład „socyjnalny” Klubu Młodej Inteligencji; chociaż w Lublinie rej wodzili w nim plastycy i historycy sztuki. Wielu z nas zresztą miało w przyszłości odejść daleko od wyczynów za-

Gdzie są chłopcy z tamtych lat?

Mirosław Derecki

mieścił na suficie surrealistycznie potraktowany wizerunek nagiej kobiety, spoczywającej na katafalku. Stąd, po osiemnastu stopniach, schodziło się na najniższy poziom Piwnicy. Znajdowało się tam największe pomieszczenie kawiarniane — zarazem „scena” i widownia kabaretu — pomalowane przez Włodzimierza Borowskiego. Ściany i sufit były jednym wielkim obrazem abstrakcyjnym, w gatunku — informel, utrzymanym w tonacji błękitnej i białej, co trochę przypominało niebo z chmurkami. Wreszcie ostatnie pomieszczenie, do którego wchodziło się przez wąski otwór i które w czasie występów służyło nam za garderobę, zostało „przystrojone” przez Tytusa w abstrakcję geometryczną.

Wnętrze wyposażono w bezpretensjonalne meble; na każdym stoliku stała niewielka lampka, co stwarzało dodatkową, zaciszną atmosferę. W bufecie można było dostać miód „Wawel” oraz wino „specjalne”: „Tur” i „Gryf”, dostatecznie tanie na kieszeń i dostatecznie mocne — na głowę studentów. Grywał w Piwnicy zespół jazzowy „Bemol” pod kierownictwem Jacka Abramowicza, studenta prawa; z uwagi na szczupłość pomieszczeń i akustykę piwnic były te produkcje rzeczą nie-

wodów i zajęć się sprawami, które pchnęły nas na drogę „Sexu”.

Otwarcie Piwnicy i kabaretu odbiło się „szerokim echem” w lubelskiej prasie. Pierwszy na widowni pojawił się oczywiście „Kurier”, ale zacytujmy tutaj fragment sprawozdania, jakie ukazało się w „Sztandarze Ludu” z 16 kwietnia 1957 r. Pisał je (jd), czyli Janusz Danielak, który dopiero później sięgnął po szlify dziennikarza radiowego: *Nareszcie — w sobotę — po licznych perypetiach, w dawnej winiarni na Starym Rynku został otwarty studencki klub-kawiarnia. Uroczysty ów moment zgromadził wielu zaproszonych gości, wśród których najwięcej dawało się zauważyć... dziennikarzy. (...) Punktem głównym programu były występy studenckiego kabaretu. Jakkolwiek kabaret ten niewiele ma wspólnego z tradycyjnym pojęciem kabaretu, to absolutnie nie mamy o to pretensji. W ogóle z pretensjami należy jeszcze poczekać. (...) Teraz zaś należy podziękować zespołowi za uśmiech — nieco smutny zresztą; za satyrę — też nieco smutną; za poezję; za to po prostu, że jest — bowiem być, w lubelskich warunkach, nig jest sprawą najłatwiejszą.*

Bo ja wiem, czy byliśmy tacy smutni... Może tak się wydawało z uwagi na czarne swetry, płonące świece i nową wówczas — przynajmniej w Lublinie — manierę mówienia niektórych tekstów przy „martwej” twarzy, dla tym większego wyeksponowania treści literackiej. Tak było w wypadku wierszy z „Obrotów rzeczy” Mirona Białoszewskiego: jakżeż wspaniale „Fuńka” potrafiła oddać sens i atmosferę „Karuzeli z madonnami”! Tak było w wypadku fragmentów „Filldora dzieckiem podszytego” z gombrowiczowskiej „Ferdydurke”, czy też — „Sprośnego kaczerza Symeona”. Chociaż i w tej „martwej” twarzy czaiła się kpina z pewnego sposobu recytacji. A już „Monolog onanisty” w wykonaniu Olka Gabrusiewicza, był swoistą satyrą na „erotyczne” teksty i sposób ich wykonywania przez niektórych aktorów.

Nawiasem mówiąc, Olek ciągle jakoś nie mógł sobie w pełni przyswoić tego tekstu i w czasie spektaklu, na „zapleczu”, w potwornym gorącu i zaduchu powodowanym przez dziesiątki płonących świec, nie zwracając na nikogo uwagi, belkotał w skupieniu nad kartką maszynopisu: *Anno-Mario, Anno-Mario, tolosy, złoty deszcz włosów, twój brzuch... tak przeży się... twój brzuch... I tak dalej i tak dalej, a my, patrząc na to, tarzaliśmy się ze śmiechu. Nigdy ten numer nie miał tak groteskowego wydźwięku jak tam, na zapleczu, wykonywany całkiem „prywatnie”.*

Ale była przecież cała ogromna część programu poświęcona satyrze bardziej „tradycyjnej”, wykiwającej różne śmieszności i przywary, jakie wylapywaliśmy obserwując życie kulturalne Lublina. Służyły te-



Początek 1957 roku: remontują Piwnicę, a my tymczasem dumamy nad „filozofią” Sexu. Od lewej M. Derecki, Olek Gabrusiewicz, Danka Pietrasówna oraz „Pikus”

go w naszych programach mnóstwo miejsca poświęcone zostało satyrze. Tej, pojętej bardziej ogólnie, jak na przykład parodia strip-teasu, którym się wówczas pasjonowano bezkrytycznie, i tej satyrze, która dotyczyła konkretnego, lubelskiego środowiska.

Było już od dawna ustalone, że siedzibą kabaretu stanie się Piwnica Studencka na Starym Mieście, ale remont przeciągał się, więc krążyliśmy bezustannie między staromiejskim Rynkiem a pobliską ulicą Królewską, przy której, pod numerem 15, w oficynie, mieściła się Rada Okręgowa ZSP. Przewodniczył jej wówczas Zdzicho Andruszkiewicz,

do wytrzymania, nawet jak na nasze ówczesne, zdrowe nerwy.

Premiera kabaretu „Sex” odbyła się w sobotę, 14 kwietnia 1957 r., w dniu otwarcia Piwnicy. Program nie miał żadnego tytułu, a nazwa kabaretu nie miała niczego sugerować. Nazwa „Sex” zrodziła się w głowie Olka Gabrusiewicza, bez dłuższego zastanowienia i została przez nas wszystkich zaakceptowana jako wpływająca ze „strumienia podświadomości”.

Skład kabaretu stanowili: Majka Zamoyska — studentka romanistyki, Ewa Jaroszyńska zwana „Fuńką” — kończąca właśnie Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, Mirosław De-

mu zazwyczaj „Kuplety” oraz „Ogłoszenia parafialne”. W „Ogłoszeniach” celował Iwo Wojciechowski, on je najczęściej wymyślał, a potem wygłaszał „namaszczonym” tonem. Przypinaliśmy na przykład latkę Operetce, przeżywającej zresztą wówczas okres niezwyklego powodzenia: Świecidelka, bombki, lańcuchy i inne ozdoby choinkowe na kostiumy aktorskie, zakupi natychmiast, w każdej ilości, dyrektora Operetki. Albo takie: Otuleraemy pierwszy kurs malarstwa artystycznego. Uwaga: program kursu nie obejmuje rysunku. Kolo Młodych Plastyków.

„Kurier Lubelski”, pełen pomysłów i chęci rozruszania miejscowego środowiska, starał się za wszelką cenę przydać Lublinowi znaczenia. Nie zawsze to się udawało. Właśnie wówczas, wiosną, w jednym z numerów reporterzy zadawali pytanie, czy Lublin jest miastem o europejskim poziomie? I odpowiadali niefrasobliwie: Tak. Między innymi dlatego, że w restauracji „Europa” odbywają się programy nocne. Tu następowały mini-wywiady i zdjęcia piosenkarki i tancerki. Śpiewaliśmy wówczas w „Sexie” ku radości widzów, kuplet:

Lublin jest miastem europejskim
Jak zauważył „Kurier Lubelski”
Bo w „Europie” dzieją się dziwne...
Radulska tańczy, Wicherska
śpiewa.

Cały Lublin bawił się też rywalizacją między „Sztandarem Ludu” a „Kurierem Lubelskim” (w celu zachowania oraz zdobycia czytelników), która to rywalizacja prowadziła nieraz do wręcz absurdalnych sytuacji. Cóż więc dziwnego, że w Piwnicy Studenckiej grupa młodych ludzi śpiewała:

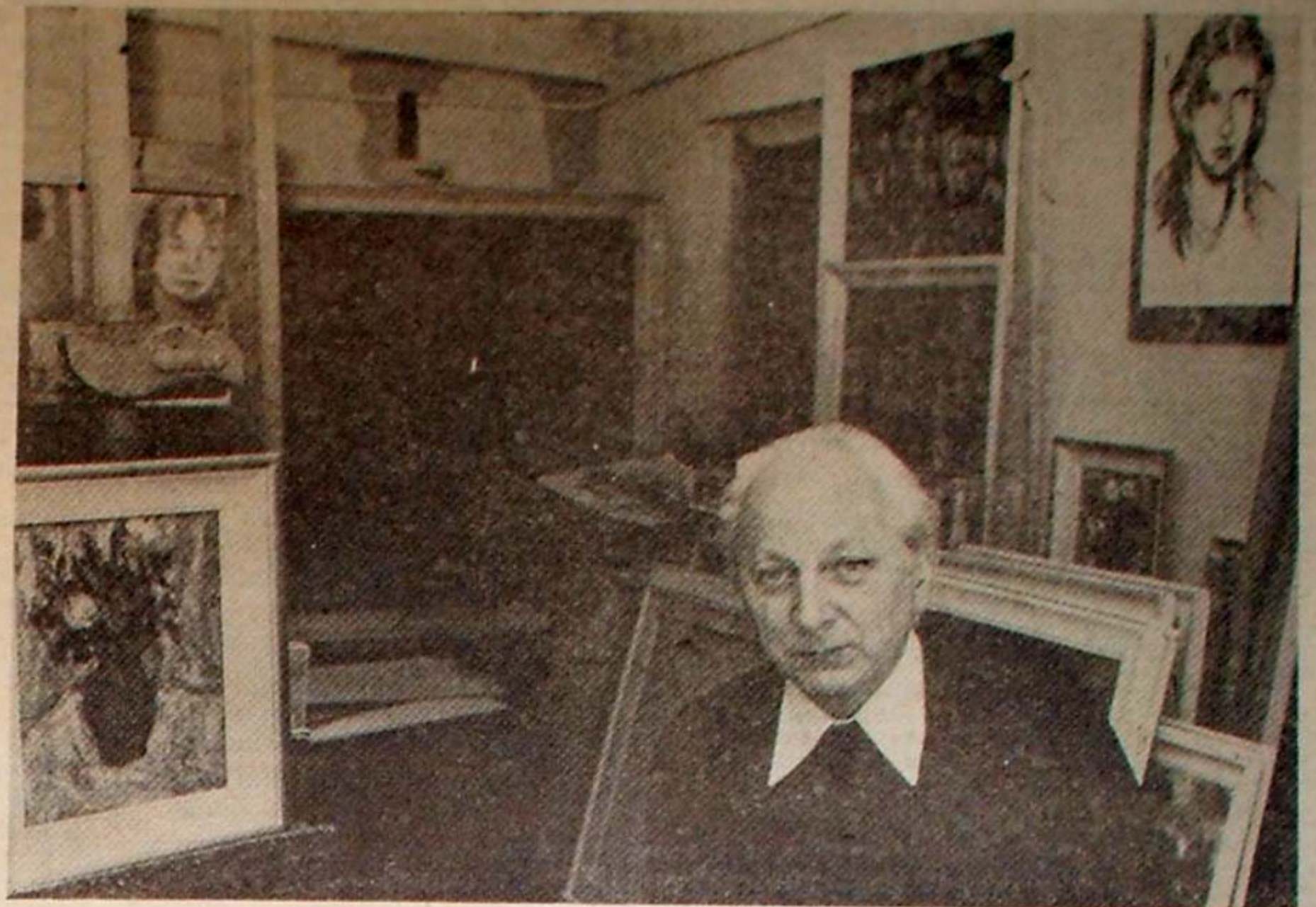
Sluchajcie ludzie nowej sensacji!
Masowe mordy w gmachach
redakcji!
„Kurier” — „Sztandara”,
„Sztandar” — „Kuriera”,
Różną się nawzajem — jasna
cholera!!!
A kiedy zarzną się całkowicie —
Sprowadzić „Express”, czy
wskreszyć „Życie”?

Chodziło oczywiście o „Życie Lubelskie”, mutację „Życia Warszawy”, które w Lublinie zastąpił „Kurier”. Nie opłacała się nam ta satyra o tyle, że Kazio Spólnicki „Szalejący redaktor” i w ogóle „postać”, zemścił się w sposób straszliwy: któregoś dnia, było to już na początku wakacji i mieliśmy za sobą dwa programy, pojawił się w „Kurierze Lubelskim” wielki nekrolog: *Donosimy ze smutkiem, że po długich i ciężkich cierpieniach, zmarł KABARET STUDENCKI „SEX”*. Wszystkim znajomym i przyjaciółom tegoż, składamy wyrazy głębokiego współczucia. P.S. Gdy kabaret zmarłych wstanie, zamieścimy sprostowanie.

Byliśmy wściekli i zgrzytając zębami przebiegaliśmy Lublin w poszukiwaniu Spólnickiego. Ale Kazio zapadł się jakby pod ziemię a redaktor naczelny, Lesław Gnot, twierdził, jak zwykle, że on o niczym nie wie. Wreszcie machnęliśmy ręką, bo kawał był złośliwy, ale i dobry, a poza tym szykowaliśmy się do artystycznego tournée po Międzyzdrojach i okolicy.

Zdzicho Andruszkiewicz i Erwin Staniek (kierownik kulturalno-oświatowy RO ZSP) zaopatrzyli nas w sążnistą, oficjalną „bumagę”, polecającą kabaret „Sex” kierownikom Domów Wczasowych. Korzystając z pobytu na Wybrzeżu — stwierdziło m. in. pismo — grupa ta mogłaby chętnym wczasowiczom pokazać swoje programy. O oczywistych korzyściach płynących z obejrzenia niewątpliwie wartościowego repertuaru, pisać nie będziemy. Trzeba to zobaczyć!

Przecieraliśmy więc jako pierwsi drogę słynnej studenckiej FAMIE, odbywającej się — po latach — w niedalekim Swinoujściu... Niestety, trzeba było też widzieć, jak wracaliśmy z „tournée”, które okazało się naszą tragiczną pomyłką i bezprecedensową porażką! Ale nie straciliśmy wiary w siebie. W październiku przenieśliśmy się do obecnego klubu „Nora”, już jako „Sex II”, i dając program — „Cezar i Melisanda”, którym — tym razem już naprawdę — zbulwersowaliśmy cały Lublin...



Fot. Andrzej Polakowski

Edward Nadulski w pracowni. Indywidualna wystawa malarstwa E. Nadulskiego czynna jest właśnie w puławskiej Galerii Klubu MPiK. Nieco wcześniej obrazy lubelskiego artysty eksponowano w Biurze Wystaw Artystycznych w Koszalinie. „Wyraża się zatem w twórczości absolwenta warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych zarówno potrzeba ludz-

kiej, indywidualnej kontemplacji świata, potrzeba refleksji nad uniwersaliami, jak i pragnienie zajęcia stanowiska wobec tych wydarzeń o charakterze społecznym i politycznym, które poprzedzały narodziny nowej formacji ustrojowej w naszym kraju” — czytamy we wstępie do katalogu tej interesującej wystawy.

OKO -LICE SZTUK -KI

We własnej ciszy

MIEDZY 1968 a 1973 rokiem w redakcji „Kamery” przy ulicy Narutowicza 35, częściej od młodych poetów pojawiali się młodzi plastycy i fotograficy, co nawet z lekka drażniło niektórych starszych moich kolegów. Nawet się im dziś dziwię, bo spotkania tego towarzystwa miały przebieg burzliwy, choć czasami — bardzo wesoły. Gadałszy o sztuce, o możliwościach zdobycia pracowni, o panienkach, planowaliśmy różne „numery” artystyczne, pokazy, wystawy. Tomek Kawiak zabrał się pewnego razu do makietowania jakiegoś numeru „Kamery”, prezentującego bodaj jego „Spacjostuktury” (tak właśnie: „i” a nie „j”), posługując się moim tekstem i fotografiami Ryśka Marona, który w tamtych latach często bywał w redakcji, jednorazowo ryzykując nawet reporterską wyprawę w teren, w okolicy Kraśnika, gdzie właśnie wiosenną powódź zalala kilka wiosek. Wrócił z tego wojażu cały, zdjęcie przyniósł, ale chyba odeszła go ochota do tego rodzaju roboty.

W mrocznym pokoju starej oficyny o zakratowanych oknach (przepisy) najgłośniejszy dyskutował Jasio Popek, już malarz dojrzały, a jeszcze pisujący wiersze. Pewnego dnia pojawił się ogolony na zero, ale chyba z brodą, co doprawdy stanowiło kompozycję niezapomnianą, godną pedzła Halsy, albo... Andrzeja Mroczka. Tak, proszę pań-

stwa, obecny szef post-artystycznego „Labyrinthu” malował kiedyś obrazy, własnoręcznie, zapatrzony jakby w twórczość van Gogha. Najczęściej jednak gościliśmy Lutka Demidowskiego, który miał wówczas dwadzieścia kilka lat oraz sporo interesujących pomysłów fotograficznych.

Pewnego dnia przyprowadził do redakcji całą grupę młodych ludzi, którzy zadeklarowali się jako zwolennicy fotografii subiektywnej, pragnący wystąpić w obronie naturalnego środowiska człowieka. Rozważania nad koncepcją owego environmentu zabrały nam kilka godzin. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że powołanie grupy twórczej jest sprawą nie cierpiącą zwłoki. Okazało się jednak, że nie jest tak źle, bo sprawa cierpi do dzisiaj... Kto jeszcze brał udział w tych spotkaniach i gorących rozmowach? Przypomnijmy: Zbigniew Zugaj (starszy od nas i utytułowany sukcesami), Zdzisław Dados, Bruno Nagrodzki, Andrzej Jałowiński (zajmował się kiedyś fotografią artystyczną) i kilku innych.

A potem: jeden wyjechał do Paryża, trzech wybrało indywidualne ścieżki, ktoś rzucił swoje aspiracje artystyczne na śmietnisko „przebrzmiałych wartości”, kogoś tam pochłonęło małżeństwo i idea mnożenia bogactw doczesnych. No i „Osrodek Sztuki — Kamena” przestał faktycznie istnieć, tylko niżej podpisany dalej klepie swoje zdrowaśki.

Taki rozwój wydarzeń można by uznać za prawidłowy. Każda grupa, każdy — formalny czy nieformalny — związek musi kiedyś upaść. No i dobrze. Proszę jednak zauważyć, że właśnie od 1973 roku nie pojawiło się w Lublinie ani jedno ugrupowanie młodoartystyczne, mówiąc jeszcze ostrzej — w życiu twórczym miasta absolutnie nie widać ludzi młodych, którzy ujawniliby chociaż aspiracje do siania tzw. dobrego fermentu. Pusto i cicho. Mimo że Klub Absolwentów Wyższych Uczelni Plastycznych istnieje od kilku lat przy ZPAP i liczy dziś niemal 38 osób. Urządzili ci młodzi dwie bodaj wystawy zbiorowe — jakież tam oficjalne, nadęte, sprawozdawcze, zupełnie nieporównywalne z demonstracjami Kawiaka, czy „Obnaznieniem” i „LSD” Demidowskiego, które to imprezy ściągały tłumy zażartych polemistów. Może rok temu zwróciłem się do prominentnych członków owego Klubu z pokorną i uprzejmą oraz serdeczną prośbą: „Panowie, bądźcie la-

skawi odwiedzić redakcję, porozmawiajmy o sprawach, które Was nurtują, urządzimy publiczną dyskusję”. Propozycję przyjęto z należytym zrozumieniem, ustaliliśmy termin spotkania (nawet dwa terminy, dla wygody klubowiczów), no i na tym się, niestety, skończyło. Na próżno czekałem, chociażby na telefon wyjaśniający sprawę. Nic z tych rzeczy.

Coraz bardziej sztuka staje się tylko zawodem, środkiem do życia. Coraz rzadziej sztuka ujawnia się jako forma myślenia o świecie, jako forma przeżywania tego świata. Coraz częściej sztuka młodych zamienia się w plastykę, w robotę usługową, wykonywaną na zlecenie, na wagę, na metry, na tysiące. Coraz rzadziej można spotkać młodego malarza, który reprezentowałby tę samą postawę, co zmarły w 1973 roku Stanisław Surdacki, którego wystawa pośmiertna czynna była w marcu w lubelskim BWA.

Urodzony w 1915 roku w Urzędowie koło Kraśnika, studiował Surdacki w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, dyplom otrzymując w 1953 roku. Zaraz potem pojawił się w Zamościu, gdzie przez wiele lat nauczał w tamtejszym liceum sztuk plastycznych. Ostatnio mieszkał w Kraśniku, w ciasnej pakamerze Powiatowego Domu Kultury. Malował pejzaże, kwiaty, martwie natury. Malował doróżkarzy zamojskich i chałupy urzędowskie. Malował małe miasteczka, w których schronił się, aby nie ulec presji sztuki sterowanej ideą permanentnej zmiany, poniżającej się przed matematyką, uprawiającej cyniczną grę w wyciosane przez siebie pionki, które reklamuje się maluczkim jako uniwersalia. Nie malował na kolanach, ale w jego znakomicie nierzadko zestrojonych kolorystycznie obrazach odnajdujemy ślad wielkiej pokory wobec świata natury i refleksyjną zadumę nad koniecznością przemijania. I chyba dlatego nie zapomniano o Stanisławie Surdackim w Kraśniku, w 1976 roku urządzając pierwszą po śmierci artysty wystawę jego malarstwa (w tamtejszym muzeum).

Tymczasem sztuka młodych coraz częściej zamienia się w robotę usługową. Przynajmniej w Lublinie. Chociażby na naszych oczach.

IJK

O D lat przeszło trzydziestu dwóch łączy mnie z lubelskim teatrem dramatycznym rzecz można więc uczuciowa, kolejno — jako przyjaznego widza, potem jako odpowiedzialnego (do pewnego stopnia) kierownika literackiego, wreszcie znowu jako widza życzliwego, acz ryzykującego niekiedy sceptyczne wynurzenia w druku. Naprawdę cieszą mnie sukcesy naszego teatru i przejmują się jego kłopotami. Co do sukcesów nie pominię ich bez wątplenia wielogłos apologetyczny w jubileuszowej aurze niezbyt już odległego roku 1979, oświadczenie proponuję dziś temat pilniejszy: kwestię kłopotów, ściślej mówiąc — najważniejszego chyba kłopotu, nekającego lubelską scenę dramatyczną nieodstępnie od 1947 r., kiedy to opuścił ją zespół Antoniego Różyckiego. Mam na myśli oczywiście kłopot z frekwencją.

Ktoś powie: Jest to troska prawie wszystkich teatrów polskich, bo telewizja, przewaga zainteresowania sportem, niewyrobienie nowego widza, wykruszanie się starego, brak niezawodnej recepty na równowagę planu repertuarowego...

Znamy to, znamy, te argumenty zostały rozwalowane w prasie i na konferencjach. Ale gdzie indziej różnie bywało. Kłopot nasilał się sporadycznie lub zanikał, choćby przy poszczególnych pozycjach, podczas gdy w Lublinie stał się — powtarzam — nieodstępny, jak tylko przeminęła euforia wywołana powrotem na scenę polskiego słowa. Powiem otwarcie: mam wrażenie, że tutaj zadziałała dodatkowo lokalna specyfika psychiczna.

Lokalna specyfika psychiczna? A właśnie. Są przecie miasta, które wręcz kochają swój teatr. Weźmy np. Kalisz. Jego inteligencja — bo rola przewodnia w szerzeniu kultury teatralnej przypada z natury rzeczy w udziale inteligencji — otacza Teatr im. W. Bogusławskiego aktywną opieką w doli i niedoli. Pomaga mu ona m. in. realizować takie inicjatywy, jak słynne Kaliskie Spotkania Teatralne, które podtrzymując jego prestiż budzą w nim równocześnie ambicje będące niewątpliwym dopingiem do wzniesienia się na wyższy poziom.

W Lublinie, mieście o pięciu wyższych uczelniach, z chwilą odpłynięcia „fali kulturalnej” okresu PKWN, teatr dramatyczny jak gdyby został skazany na osobliwe wyobcowanie. Nie będę wracał do jego samotnych zmagani z wszelkimi trudnościami na przestrzeni trzydziestolecia, powiem tylko, że i obecnie nie ma on aktywnego poparcia ze strony tych warstw społecznych, na które przede wszystkim należałoby liczyć. W stosunku autorytatywnych sfer uniwersyteckich wyczuwa się coś w rodzaju odgórnego wyniosłości, stosunek zaś środowiska studenckiego do Teatru im. J. Osterwy jest po prostu nijaki.

A stowarzyszenia twórcze, a wolne zawody? Lekarze, adwokaci itd., itd... Cóż, nie byli „ankietowani”, w kawiarniach też nikt się dzisiaj nie spiera o zalety i wady różnych prezentacji teatralnych, a więc jedynie z licznymi absencjami na widowni można by wnioskować, iż teatr w ogóle stanowi ostatnią z trosk lubelskich twórców czy wolnozawodowców.

Wymownym świadectwem tego stanu rzeczy był płon ogłoszonego bodaj przed rokiem konkursu na recenzję ze spektaklu „Grupy Laokoona”. Nie zamierzam sugerować, że na przedmiot oceny wybrano spektakl rewelacyjny, ale eksponował on interesujące problemy, miał szereg zalet wykonawczych. I oto z uniwersyteckiego miasta Lublina nadchodzi na ręce jury zaledwie 11 (słownie: jedenaście) „recenzji”, z których tylko 3—4 wykazują jakiekolwiek rozeznanie w żywej pracy teatralnej, prawie zaś wszystkie, z tymi najlepszymi włącznie, sączą jad ślepej, rzekłoby się — niemal osobistej animozji w stosunku do lubelskiej sceny dramatycznej. I było to w ciężkim okresie reorganizacji teatru w związku ze zmianą jego dyrekcji.

Summa summarum wypada niestety stwierdzić, że w lubelskim klimacie teatr dramatyczny, gdy chodzi o zdobywanie widza, jest zdany na własne siły, na pomysłowość i energię swego organizatora widowni, który czaruje ze zmiennym szczęściem k. — o zakładach pracy i z większym szczęściem — dyrekcje szkolne.

Wiadomo, dziś stawia się głównie na wychowanie młodego widza, ale czas nagli i po 32 latach wygłaszania hasła upowszechnienia kultury teatralnej chciałoby się mieć na widowni jak najwięcej ludzi, którzy kupili bilet, powiedzmy, na Witkacego, Gombrowicza, Różewicza, Mrożka w kase, bez nagonki. Powinny więc wreszcie w tym mieście pyszniącym się wyższymi uczelniami znaleźć się aktywne siły społecznikowskie, które, wyzbywszy się snobizmu, dokładająby starań do kształtowania nowej widowni, a zarazem przez przyjazny kontakt z miejscowym teatrem dramatycznym dopingowały go do bezkompromisowego czuwania nad jakością jego produkcji artystycznej.

Powyższe myśli nasunął mi stosunkowo niedawny pobyt w Łodzi przy okazji tzw. sesji wyjazdowej

W POSZUKIWANIU WZORÓW

Maria Bechcyc-Rudnicka



P. O. Enquist: „Noc trybad”. Jerzy Przybylski (Strindberg)

Fot. A. Brustman

Klubu Krytyki Teatralnej SDP. Albowiem Łódź daje wzory istic budujące.

Rzecz nie w tym tylko, że miasto posiada kilka dobrych teatrów z bogatym, urozmaiconym repertuarem, że przybysz-teatroman, który przyjechałby tu na miesiąc, nie miałby jednego dnia nieteatralnego, czyli roztoczyłaby się przed nim nie lada panorama widowiskowa. Na sesję Klubu Krytyki wybrano 9 przedstawień: Teatru im. S. Jaracza, Nowego i Powszechnego. Niekoniecznie monumentalnie-reprezentacyjnych artystycznie (nawet gdy się weźmie pod uwagę „przeteatralizowany” spektakl „Nie — Boskiej” lub prapremierę „Ślódmej rzeki” Scibora-Rylskiego, celującego raczej w scenariuszach filmowych). Repertuar miesięczny Teatru Nowego np. nie przewidywał na nasze cztery dni pokaz adaptacji „Lorda Jima”, ani nie włączono do programu „sesji” — Gombrowiczowej „Operetki”, obydwie te szeroko omawiane inscenizacje Kazimierza Dejmki już gościły w Warszawie. W Teatrze Nowym pokazano nam na dużej scenie „Egzamin” Jana Pawła Gawlika (reż. W. Pilarski), sztukę nie pretendującą do olśniewania fakturą artystyczną, lecz poruszającą problem odwagi cywilnej, wpisany w wizerunek środowiska szkolnego, które powinno świecić przykładem szczególnego na tym punkcie uważliwienia. Otóż spektakl „Egzaminu” ma niestabnące powodzenie i fakt ten łączy się dowodnie ze sprawą umiejętnego dojścia do widza, o czym znów będzie dalej mowa.

Ażebym nie wykrzywił jednak obrazu osiągnięć teatralnych Łodzi rozważaniem wyłącznie środków na zapewnienie widowni, napomknę tu nawiasem, że skądinąd dużo satysfakcji już czysto estetycznej natury dostarcza elitarny spektakl „Nocy trybad” Pera Olava Enquista, połączony z prezentacją jednoaktówki Strindberga „Silniejsza”, która następnie zrasta się już organicznie z „Nocą...”. Dobry smak nakazał Janowi Maciejowskiemu wyeliminowanie nazbyt wulgarnych projekcji proponowanych przez Enquista. Kwartet aktorski (Ewa Mirowska, Nina Przybyłowska, Jerzy Przybylski, Kazimierz Iwiński) i bez tego znakomicie poradził sobie z odtworzeniem „męki w grzechu” moderny.

Pod każdym względem doskonały był „Protokół z pewnego zebrania”. Sztukę Aleksandra Gelmana, słusnie u nas rozstawioną od dnia polskiej prapremiery w warszawskim Teatrze na Woli, obsadził Teatr im. S. Jaracza nieomylnie. Tak szczęśliwe przypadki zdarzają się przeważnie gdy reżyser jest zarazem w pełni gospodarzem sceny i nie powodują nim względy pozateatralne. „Protokół” jest wszak sztuką, która, jak żadna inna, nie znosi błędów w obsadzie, bo nic tu po innowacji scenograficznej i sytuacyjnej. Widziałam bardzo dobre przedstawienie „Protokołu” w Rydze, zdawało się — nie może być lepszego. Tymczasem spektakl Jana Maciejowskiego okazał się jeszcze bardziej żarliwy, może dlatego, że

Łotysze mają mniej powodów do wpadania w pasję...

I ostatnia uwaga w nawiasie: chwilowa niedyspozycja nie pozwoliła mi niestety na obejrzenie przedstawień Teatru Powszechnego które powszechnie chwalono.

Zamknijmy jednak już nawias minirecenzencki. Powiedziałam wyżej, że nie spektakle, jakkolwiek ciekawe, szczególnie zafrapowały mnie w Łodzi, ale pewne wzory, wzory — łatwo się było domyślić — współdziałania społecznego z teatrem na rzecz rozpowszechnienia kultury teatralnej. Wydaje mi się, że w tym miejscu postąpię najsumienniejsz i najrozsądniej, jeśli dosłownie przepiszę dane nam do ręki informacje pt. „Wokół teatru”. Oto one:

Akcje i inicjatywy podejmowane z myślą o popularyzacji teatru przez organizacje społeczne Łodzi w roku 1979.

I. Towarzystwo Przyjaciół Łodzi poprzez Klub Miłośników Teatru — z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru:

a) Przyznanie dorocznej nagrody „SREBRNEJ ŁÓDKI” za najwybitniejsze przedstawienie sezonu „międzyłódzkiego” na łódzkiej scenie (za „Operetkę” Gombrowicza w Teatrze Nowym).

b) Wydanie „Suplementu do dziejów teatralnych m. Łodzi” — okolicznościowego druku, trafiającego do rąk widzów w Dniu Teatru. Każdorazowo treść związana jest z jubileuszem. Np. ostatnio: w r. 1974 — z 20 rocznicą śmierci Leona Schillera, w 1975 — z 30-leciem premiery „Wesela” w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi, w r. 1976 — 75 rocznicą otwarcia w Łodzi Teatru Wielkiego. W przygotowaniu suplement poświęcony Aleksandrowi Zelwerowiczowi w stulecie jego urodzin.

c) Konkurs na recenzję szkolną.

d) Cykl wykładów o teatrze i dramacie; aktualny, cykl IV, pt. „ABC sztuki teatru” ma przekazać w 7 wykładach wiedzę o tworzących teatralnych (słowo, muzyka, plastyka itp.) — przy wydanej pomocy Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Dramatu Uniwersytetu Łódzkiego.

e) Wspólnie ze SPATIF-em i BWA zorganizowano cykl spotkań pn. „Łódź teatralna zaprasza”, poświęcony znaczącym premierom roku („Obrona Sokratesa”, „Garbus”, „Turoń”), innym wydarzeniom sezonu (spotkanie z laureatami nagród wydawnictwom (spotkanie z Hanną Maikowską autorką książki „Teatr mojego życia”).

f) Przed świętem zmarłych — wieczór wspomnień p.n. „Cieniom sceny polskiej”. W r. 1976 zegoano Feliksa Zukowskiego, Tadeusza Schmidta, Kazimierza Rudzkiego, Stanisława Grochowiaka i Jacka Fruhlinga.

II. Towarzystwo Kultury Teatralnej:

1) Sesja poświęcona Jerzemu Szaniawskiemu w setną rocznicę jego urodzin, połączona z otwarciem wystawy w Bibliotece Uniwersyteckiej (współpraca z Instytutem Teorii Literatury, Teatru i Dramatu UL).

2) „Zapraszamy do teatru”, impreza, której adresatem jest Gminny Osrodek Kultury.

3) W 59 rocznicę Rewolucji Październikowej — wystawa „Sztuki radzieckie na łódzkich scenach w latach 1945—1973”.

4) Liczne spotkania w ramach podpisanej z zakładami pracy umowy „Sojuszu świata pracy z kulturą”.

5) Zorganizowanie konkursu „Teatr 76”.

III. „Srebrny pierścień” — nagroda Wydziału Kultury i Sztuki oraz Stowarzyszenia Dziennikarzy dla aktora za wybitną rolę sezonu (otrzymał ją Andrzej May za rolę Onka w „Garbusie”).

IV. Nagroda „Głosu Robotniczego” dla młodego aktora za obiecujący debiut i dla teatru za najpopularniejsze przedstawienie (plebiscyt czytelników).

V. „Bal aktora” z okazji M. D. T. połączony z otwarciem wystawy „Łódzkie prapremiery”.

Oczywiście to i owo z takiego programu robi się i w Lublinie, ale jakże urywkowo, doraźnie, gdzieś w odosobnieniu bez konsekwentnego, szerszego kontaktu ze społeczeństwem, a w rezultacie nie tyle ile dąłoby się zrobić przy współpracy poszczególnych placówek.

Udaną kooperację z kierownictwem kilku klubów środowiskowych podjął wprawdzie SPATIF, który niedawno obchodził mały jubileusz swego Studia Dramaturgii Współczesnej (o czym w „Kamieniu” pisałam). Lecz dobra jakość tej roboty za wolno jeszcze przechodzi w znaczniejszą ilość. I ostatecznie inicjatywa zrodziła się w samym teatrze, a chodzi tu o rzut oka na działalność przyjaciół teatru.

Dzięki staraniom takich zamilowanych i wytrwałych działaczy kulturalnych, jak Irena Szychowa i Bolesław Resch istnieje wszak w Lublinie Towarzystwo Kultury Teatralnej, do niego więc chyba głównie należy skierować apel o zacieśnienie życzliwego kontaktu z teatrem lubelskim. Wydaje się, iż obok częstych wyjazdów członków Towarzystwa na atrakcyjne spektakle pozalubelskie, rzeczą ze wszech miar pożądaną byłoby wzbogacenie jego działalności koordynacją różnych akcji zmierzających do zainteresowania szerszych kręgów społeczeństwa lubelskiego dostępnymi dla nich na miejscu spektaklami Teatru im. J. Osterwy. Posłuszenie się przy tym dobrymi wzorami łódzkimi z pewnością nie godziłoby w ambicje naszego Towarzystwa Kultury Teatralnej.

A co też programuje w tym zakresie Towarzystwo Przyjaciół Lublina? Pytam, bo nie o jego akcjach nie słycać. Gdybyż wreszcie zrealizowała się w Lublinie owa „Integracja”, o której dużo się mówi postulatycznie z nikłym skutkiem.

Tymczasem w Teatrze im. Osterwy zaczyna działać się nienajlepiej. Oczywiście teatr miwa zazwyczaj tytuł przyjaciół, na ilu zasługuje, ale i społeczeństwo będzie miało taki teatr, na jaki zasługuje swoim z nim kontaktem. Jest to sprzężenie zwrotne chyba warte rozważań.

Cyprian Czernik

Czysta miłość bierze początek w laziencie.

Zakochani bez pamięci najczęściej zapominają o ślubie.

Kamena str. 10

MYŚLI

Moda się zmienia. Dawniej panie pokazywały koniec nóżek — a teraz pokazyują ich początek.

Cudowna kobieta jest to ta kobieta, która nie wymaga od wielbicieli cudów.

Ukochana kobieta: bez niej piekło — a z nią sto piekiel.

Dlaczego obcowała? Bo z obcymi.

Mówią, że miłość uskrzydla — ale to nieprawda, bo miłość tylko oskrzydla.

Skracając sukienkę, w dłużyła zasięg oddziaływania.

JOZKA urodziła się w dość malowniczej, ale biednej wiosce leżącej u podnóża góry mającej kształt helmu, z tego też chyba powodu i wiosce nadano to miano. W pobliżu znajdował się majątek i pałacyk należący niegdyś do znakomitego pisarza, a obecnie muzeum poświęcone jego pamięci.

Całe życie tej starej, ale krzepkiej kobieciny związane było z pałacykiem, w którym pół wieku froterowała posadzki i wycierała kurze. Zmieniały się czasy, ale ona właściwie tego nie zauważała. Przedtem słuchała pana literata, teraz panem dla niej był kustosz muzeum, którego otaczała takim samym rodzajem szacunku jak niegdyś dziedzica.

— O, pan idzie — zrywała się z ganku kiedy tylko zauważyła kręną postać zdążającą od przystanku pakaesu i chwytając jakąś szmatę zrecznie markowała sprzątanie.

W muzeum podczas kadencji Józki, mimo danych jej do pomocy dwu sprzątaczek, panował zwykle przeraźliwy brud. Józka była mistrzynią w stwarzaniu pozorów zapracowania i kiedy wreszcie kustosz zamysłony o sprawach wyższych, czyli gdzie by tu zdobyć wiejską kielbasę, dostrzegł nagle rzeczywistość — ogromne pokłady kurzu pod antycznymi meblami i wymazane palcami licznych wycieczek gabloty, zaczynał krzyzczeć, wówczas Józka wybuchła płaczem i narzekaniem na nawał roboty.

Czasem, gdy jakieś ważne osoby miały odwiedzić muzeum, kustosz kłął i razem z personelem biurowym zaczynał sprzątać wywieszając na głównych drzwiach tabliczkę „muzeum nieczynne”.

Józka siedziała wtedy z ogromnie zadowoloną miną w fotelu w hallu i pogryzając bułkę z kielbasą stwierdzała ukontentowana:

— O, jak ja lubię patrzeć jak zapieprzają inne, ogromnie to lubię.

Zagadką było, jak Józka przez tyle lat mogła pełnić funkcję pokojówki i przy takiej pracowitości nie wyrzuceno jej za drzwi. Jest to jedna z nie odkrytych dotąd tajemnic sławnego pisarza.

Obecnie kustosz traktował ją chyba jako relikwii przeszłości, żywy eksponat muzealny i starał się nie zauważać nieróbstwa, ale dawniej musiała się nieźle wyspecjalizować w obianiu, by uszło to uwadze państwa.

Jedną rzeczą, którą Józka robiła z przekonaniem i ochotą, było nielegalne oprowadzanie wycieczek.

Cały personel dojeżdżał z pobliskiego miasta, toteż po południu muzeum było zdane całkowicie na łaskę Józki i stale podpiętego również wiekowego portiera, który za życia pisarza pełnił funkcję lokaja.

Zapóźnione wycieczki często błądły o otwarcie drzwi i choćby tylko odetchniecie powietrzem gabineatów, w których powstawały dzieła wielkiego twórcy. Oczywiście jest, że wycieczki nie domagały się, by traktować je bezinteresownie.

Józka certowała się, że nie ma kto oprowadzać, a w końcu dodawała skromnie:

— H, to i lepiej, że unych już ni ma, bo co to wi, ja wim najlepiej. Ja byłam za pokojówkę u pana i jego ostatni żony.

Zadne wrażeń wycieczki oferowały wtedy jeszcze jakieś datki i zaczynały się oprowadzanie przez Józka. Wspierając się pod bokiem stała na środku hallu i krzykliwie wywodziła opowieści swnialniano-kuchenne, a podniży portier dorzucał swoje uwagi. Zwiedzający słuchali z zapartym tchem i gdy odjeżdżali odbijając w autokarach bułki z winem, niwem i wódka, długo wspominali to pierwsze prawdziwe muzeum.

Działalność Józki dotarła wreszcie do kustosa, bo wśród licznie oprowadzanych po godzinach wycieczek, zwykle z zakładów pracy, w jednej były jakieś oficjalne i przynadkowo trzeźwe osobistości, które uznaly, że jest to szarganie narodowej świętości i namieci wielkiego pisarza.

Kobiecie udzielono ostrego upomnienia, a prywatnie kustosz zabronił jej opowiadania tego wszystkiego, co za życia pisarza widziała, nazywając to głupotami i ośmieszaniem placówki, bądź co bądź przeciwko poważnej.

Rozżalona siedziała w hallu, a pokłady kurzu wzbieranego filcowymi kanciami zwiedzających narastały do gigantycznych rozmiarów. Kustosz poszedł zaraz po tym wywiedzeniu na urlop, a nikt nie śmiał nakłonić Józki do spełniania jej obowiązków.

— Holoty różny naprzyjmowali — burczała pod nosem — nie toto nie wi, a jak człowiek, co był i widział, opowi to jeszcze mu nawymyślają i złało jak psa.

— Bo Józka mówi nie to, co należy mówić — wtrąciła pani magister. — Kto to widział opowiadać o ścierce w zupie, nocnikach i tych wszystkich intymnych sprawach. Pisarz stworzył wielkie dzieła, które znajdują się w skrabcu naszej kultury narodowej i jego postać musi być świetlana i godna szacunku, a Józka opowiada tak, jakby to był jakiś zwykły człowiek.

— No, trzećta żona pana — wyjaśniła — wystawała tu całymi nocami. Oni spali w osobnych pokojach, a od ślubu nie wpuścił jej do siebie.

— Dlaczego?
— Bo nie już ni mógł — zachichotała. — A co się nastoła, naprosiła, aż żal mi tego biedactwa było, zmarło jej się potym na oko.

Otworzyła kluczem drzwi i wszyscy weszli do zagraconego pokoju z dużym balkonem, skąd roztaczał się widok na park i całą okolicę. Pokój sasiadował z drugim, bliźniaczym, też z ogromnym balkonem.

— A tutaj — mówiła dalej Józka — ciągle zamykał się pan młodsz, znaczy syn. Całe dnie tu siedział i siedział, bo chciał koniecznie zostać takim samym wielkim pisarzem jak ojciec. Całe dnie tak wysiadywał, a my podglądali bez dziurki od klucza, co on takiego robi. Chyba miał coś tu — popukała się w czoło — bo nie, tylko trepa w ręce i muchy po ścianach bił. I tak całe dnie, nie tylko zamykał się i muchy bije. Ożenił się bidak jak mu już czterdziestka stuknęła. Wziął staro panne rudą jak wiewiórka, ale siedem folwarków na Podlasiu za nią dostał, i wszstkde przepuścił. Dobrze, że ten chociaż został. Ale zły nie był. Kiedy mu ta wiewiórka urodziła bliźnięta, to od drzwi sypialni na kolanach do jej łózka szedł. Tacy byli dawniej mężowie.

Słuchaczki zaczęły zerkać na zegarki, gdyż kończyły się godziny urzędowania, a one myślami były już przy swoich garnkach i zgadywały długość kolejek w sklepach.

— Na koniec wam powim o panience — zerkała Józka na portret anemicznej blondynki. — Tyż ni miała szczęścia, późno poszła za mał, ale za to za rotmistrza ulanów. Mały, lysz, ale miał ładny mundur. I wita co? Jak się zaczął zamet w trzydziestym dziewiatym, to skorzystał i znikł. Ciąta nie znaleźli, żywego tyż nie. A ona do śmierci szukała go aż się jej zmarło samy.

Panie nie bardzo już słuchające Józki rzuciły się do wyjścia, bo za chwile odchodził autobus. Na tarasie zderzyły się z wycieczką kontemplującą tabliczkę „muzeum nieczynne”.

Personel

Maryla Banaś

— A co, może kłamie? — rozżaliła się do reszty. — Jego spytoja — wskazała na zamrozonego portiera. — Un lokajem przecie był i jak niósł wódkę na stół to zawsze upił, wody dołol, uny i tak wypily, niech im ziemia lekka będzie, a un chlo do ty pory.

— A ty, Józka, to nie dawałaś się macać panom po kątach? — uniół się honorem portier. — Zaden chłopok cie potem nie chioł, kulasa zlapałaś i to jak staro już byłaś.

— Staro nie byłam, bom dwadzieścia sześć lat miała, a o małom za pana nie wyszła, ty pijaku.

Po wyjeździe kustosa na urlop muzeum zostało zamknięte dla zwiedzających, panie snuły się jak muchy po pałacyku. Lipcowe słońce wpadało przez otwarte okna do gabineatów, a woń drzew i kwiatów z parku mieszała się z zapachem starych książek i rekonisów. Pewnego dnia jedna z pań obchodziła imieniny, w których udział brała także Józka. Gdy po paru kieliszkach zapanaował wesoly nastrój, któraś z pań zaproponowała, żeby Józka oprowadziła je po muzeum.

— Trza było tak od razu — odpowiedziała. — Jo bym wom wcześni różne ciekawe rzeczy opowiedziała, a nie takie gadanie z książek wyuczone. Zaczynamy — stanęła trochę chwileinle pośrodku salonu. — Jo byłam kiedyś piękna dziewczyna — rozmarzyła się. — I głupio gada ten sukisyn, że mnie tylko macał. Jeden pan, co to często do pana starszego przywizdzał, to nie tylko żenić się chioł. Był żonaty, ale dzieci ni miał i co przywiechol to tu, na ty kanance, co pod ścianą stoł, rece mi całował i prosił: Józka, wwidź ty za mnie! A wasy miał jak aksamit.

— No i co, co było dalej? — zapytały zaciekawione panie.

— A nie — westchnęła Józka. — Głupia byłam, że nie zgodziłam się. Tera nania bym była w Parwzu, a nie siedziła tutaj — spojrzęła z obrzydzeniem na otoczenie.

Gdy prowadziła je na piętro zrobiła mała dveresie o ścierce, która wpadała ciągle kucharce do garnka z zupa przeznaczoną na pierwszy stół, dla państwa.

— Jak rozrosiłam talerze, to tylko patrzyłam, czy gdzie w jakim farfocli ze szmaty ni ma.

— A były czasem?
— Bvly, ale uny myślały, że to z larzyn.

Zatrzymała się trochę zdyszana przed drzwiami nieużywanego pokoju na piętrze.

— Różowy pokój — oznajmiła z namaszczeniem, wyciągając klucz z kieszeni fartucha. — Miałam go tydzień temu sprzontnać, ale coś nie zdażyłam. To sypialnia pana starszego. Postoiła tu trochę, ile się tu pani starsza wystala pod tymi drzwiami.

— ?

— A w tym drugim zawsze zatrzymywała się szwagierka pana, siostra jego pierwszy żony. Ona do niego wdychała chyba przez trzydzieści lat, ale cóż, miała męża to i mogła tylko wdychać. A może nie tylko wdychać — olśniło ją nagle. — Przecież zawsze spali w pokojach obok siebie, a pan starszy długo się nie żenił aż wziął sobie te bidule na starość, co mu ciągle pod drzwiami wystawała. Co prawda gospodynią była dobrą, a on już wżyty i zużyty.

Sprowadziła ich na dół do małego saloniku, gdzie na skórzanych kanapach można było odsapnąć wygodnie po zwiedzeniu piętra i facjatek.

Józka patrzyła na twarze przylepione błagalnie do oszklonych drzwi.

— Felek, puściemy ich — szarpnęła portiera — niech se zobaczo co i jak, a ja ich oprowadze jak należy.

Czerwony banknot stułotówki otworzył drzwi jak fotokomórka. Tłumek z nabożnie skupionymi minami utworzył w hallu półkole, a Józka zaczęła:

— Jo pana starszego znalazł, sama przecie jego nocniki wynosiłam i zupe na stół podawałam...



Rys. Konrad Kozłowski

DOPASOWANIE

PEWIEN pan, którego poznałem na dworcu po opróżnieniu szóstego kufła piwa zaczął się zwierzać.

— Wiesz — mówił z przerwami na czkawkę. — Wiesz, miałem fajną przygodę. Lubię trochę muzykę, pomaga mi w pracy, a szczególną przyjemność sprawia mi dobieranie tła melodycznego do różnych sytuacji. I właśnie była w związku z tym taka sprawa... Miałem kobietę, ona była chętna, sytuacja krystalizowała się, gdy nagle wtargnięcie osób trzecich przerwało nam akcję. Leżała właśnie melodia nieco rozwlekła, mimo że posiadająca pewną ekspresję; podobała mi się, chociaż francuski nie jest językiem, którym władam najlepiej, toteż nie zrozumiałem treści, mimo iż domyślałem się, że piosenka nada się na tło naszego amoroso... Zapomniałem już o tym epizodzie, pomimo że wielokrotnie słyszałem jeszcze tę melodię i wówczas stawał mi przed oczami portret dziewczyny. Dopiero parę dni temu usłyszałem tłumaczenie piosenki. Wyobraź sobie, ten facet, co ją pisał, tak samo jak ten drugi, co ją śpiewał, byli jasnowidzami chyba, bo słowa były idealnym odzwierciedleniem naszej sytuacji, myśmy po prostu kopiowali tekst, a może to właśnie telepatia kazała nam robić różne figle właśnie w trakcie trwania tego utworu, powtarzanego kilkakrotnie, tak jak w kulminacyjnym momencie kazała się zjawić tamtym ludziom, którzy nam przegrali... Przepraszam Cię na chwilę — powiedział i odszedł od baru w niewiadomym kierunku, zapewne w stronę toalety, i już się nie pojawił, aby dokończyć, ewentualnie dać mi adres tej dziewczyny i wyjawić tytuł utworu, który tak sugestywnie oddawał ich przeżycia.

MAŻ

OD KIEDY poczułem się w tym domu intruzem, zaniechałem wszelkich prób nawiązywania kontaktów, bo właściwie to przedtem też mi się to niezbyt udawało; pierwsze spotkanie nastąpiło wówczas, kiedy znużyła mnie przedłużająca się samotność. Później też wpadałem do domu, w którym oczekiwało mnie twarde krzesło i osoba, która spowodowała moje zainteresowanie się literaturą tylko wtedy, gdy nie miałem nic innego do roboty.

Tomasz Zugaj

W tej chwili żałuję, że to uczyniłem, bo właściwie miałem namacalne dowody swej niepotrzebności, a mimo to za każdym razem miałem nadzieję, oczekując na otwarcie drzwi, iż dostąpię zaszczytu wejścia głębiej. Niestety, nie takiego się nie zdarzyło...

Faktem jest, iż po jednej z nieudanych wizyt przestałem odpowiadać na stawiane mi pytania i w ogóle unikałem mej dawnej znajomej. Doszło do tego, że nie przyszedłem na jej ślub, chociaż miałem w tej uroczystości grać rolę Pana Młodego.

ŻYWY OBRAZ

BYLEM jednym spoza środowiska studentów wraz z ich pewną grupą w pomieszczeniu, które kiedyś służyło zakonnicom do przechowywania różnych niepotrzebnych rzeczy, a teraz było czymś w rodzaju malarskiego atelier. Jego zatęchła atmosfera znużyła mnie, toteż wyszedłem na korytarz, by móc w spokoju zapalić. Dwa kroki dalej stała oparta o framugę okna dziewczyna, prawdopodobnie również studentka. Zbliżyłem się do niej, a ona zrobiła ruch, jak gdyby chciała uciec, lecz zatrzymała ją niewidzialna przeszkoda, przesuwająca się wraz za zmianą mego miejsca postoju, coś jakby szklana ściana.

— Zie się czujesz? — zapytałem.

Nie odpowiedziała mi, tylko skupiła się na obmacywaniu ściany, sprężystej i niemożliwej do przebicia. Wreszcie odezwała się pytaniem:

— Co to jest?

— Ściana — odparłem zgodnie z prawdą.

— Ale jaka?!

— Ściana obojętności ludzkiej. Słyszałaś może o materializacji rzeczy niewymiernych? To jest właśnie przykład — wyjaśniłem.

Dziewczyna nie rozumiała wielu rzeczy, między innymi tego, dlaczego inni nie widzą tej bariery lub dlaczego ja jestem w środku i ściana przesuwa się wraz ze mną wokół niej. Nie potrafiłem, a może nie chciałem jej tłumaczyć, iż rzadko kiedy bywam obojętny, ale ona chyba to wyczuła bo przytuliła się do mnie i trwaliśmy tak w bezruchu niczym para kochanków przeniesiona w realia Śródmieścia z obrazu jakiegoś nieznanego artysty.

Manhattan w Polsce



NIEDAWNO gościła w naszym kraju rewelacyjna grupa wokalna z Nowego Jorku — The Manhattan Transfer. Polska publiczność miała okazję oglądać na trzech koncertach zespół uznany jednogłośnie za największą rewelację tegorocznych targów płyt i wydawnictw muzycznych MIDEM w Cannes. Aktualne przeboje Manhattanu okupują czołowe pozycje list przebojów we Francji, Belgii, Holandii, Luksemburgu i Wielkiej Brytanii, a jeden z wydanych ostatnio singli „Chanson d'Amour” sprzedano w samej tylko Francji w nakładzie miliona egzemplarzy. Trudno jednoznacznie określić produkcje kwartetu, bowiem wykonuje on na estradzie z równym powodzeniem piosenki w stylu lat trzydziestych, stare rock and roll, godspels, spirituals, jazz, sweat music i egzotyczne rytmy latynoskie. Właściwość Manhattanu polega głównie na znakomitym opanowaniu

muzycznego i aktorskiego rzemiosła, co jest tym bardziej zastanawiające, że grupę stworzyli zupełnie niemal amatorzy. Koncert zespołu to od początku do końca precyzyjnie wyreżyserowany show, w którym na równych prawach liczy się śpiew, taniec, mimika, gest a nawet kostium. Pastiszując dawne standardy czwórka wokalistów bawi się na scenie nie mniej od publiczności. Przy czym żywiol, niesłychana muzykalność i autentyczne aktorstwo czyni z nich gwiazdy pierwszej wielkości. Bardzo dobrze stało się więc, że mogliśmy słuchać tego muzycznego rarytasu. Ci wszyscy, którym nie dane było uczestniczyć w koncertach, mogą obejrzeć show grupy w telewizji, albowiem ekipa poznańskiej TV kreciła film w Hali Areny. The Manhattan Transfer tworzą cztery osoby: Tim Hauser, Alan Paul, Laurel Masse i Janis Siegel.

I. G.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

„Zanim słońce wejdzie rosą oczy wyje” mówi przysłowie i ma rację: najpierw dlatego, że przysłowia jako mądrość narodów nie mogą jej nie mieć, a następnie dlatego, że znajduje potwierdzenie w życiu niemal codziennie. Budująca się droga żelazna ma nas uszczęśliwić (co jest jeszcze w kwestii podług wielu), tymczasem zaś znośmy z powodu tej budowy szereg różnych przykrości. Nie mówiąc już o świeżym pożarze dwóch morgów pięknego sosnowego zagajnika, który, jako pod samym miastem położony, miał mu z czasem oddać usługi, a który spłonął podobno wskutek nieostrożności robotników kolejowych. Samo tamowanie swobodnej cyrkulacji wskutek ciągłego przebiegania pociągów roboczych i podsypywania podkładów jest rzeczą przykra. Wprowadzić bez takiej formalności jak budowa drogi, droga zbudowana by być nie mogła, mamy wszak prawo wymagać, aby chociaż tymczasowe przejazdy przez linie były możliwe do przebycia [...]. W niedzielę wieczorem mieliśmy przykład, jak niebezpiecznie jest puszczać się nocną porą w drogę, która kołei żelazna przecina, w miejscu bowiem przejazdu, około milyna parowego Koźminek, dorożkarz polamał resory nowozu, dwie zaś osoby jadące tą dorożką wskutek wyrotu uległy silnemu potłuczeniu [...].

Dentysta J. Landau (syn) z Warszawy zawiadania mieszkańców Lublina i jego okolic, że przybył do tutejszego miasta na czas krótki. Przyjmuje chorych w hotelu Victoria od godz. 9 do 6 po południu, biednych zaś od 8 do 9 — bezpłatnie. Usługa zeby cierpiące za pomocą elektryczności bez najmniejszego bólu, plombuje zeby złotem i wprawia sztuczne podług najnowszy system amerykańskiego.

Pożar w kieszeni jakiegoś Jegomościła zdarzył się w tych dniach na Krak. Przed, Kawał podszewki watonowego palta już się swała, a jednak — co szczególnie — zapaliki hubkowe w pudełeczku ocalały. Iskra zapewne spadła z papierosa, przepaliła kieszeń i dostała się do waty, która silnym swędem w czas zwróciła uwagę poszkodowanego.

Koncert panny Zofii Siegenfeld, który odbył się w dniu wczorajszym w sali Resursy Lubelskiej, zgromadził niestety tak małą liczbę osób, że mimowolnie podziwiać musieliśmy odwagę koncertantki wystąpienia przed pustymi prawie krzesłami. Od pewnego czasu zauważyliśmy, iż Lublin, raczej lublinianie, uchodzący za arcy-muzycznych, za prawdziwych melomanów — naraz stali się obojętni dla wszystkiego, co się sztuka zowie, a nadto zauważyliśmy, że w czasie ostatniej bytności pani Jakowickiej, ze lublinianie lubia tylko same nowości — i to nowości, jeszcze nigdy w tym mieście nie widziane!”

[...] Tak też się stało i z teraźniejszym wystąpieniem panny Siegenfeld, która w roku 1874 po raz pierwszy w Lublinie występując wobec tłumnie zebranej publiczności świetnie była przyjęta. Zapal ten i chęć słyszenia jej pięknej gry w dwa lata później w 1876 roku znacznie już osłabła, a teraz, gdy już po raz trzeci w ogrodzie naszym na estradzie koncertowa wystąpiła, zapal pierwotny spadł niżej zera. [...]

„Kurier Lubelski”

PRZED 50 LATY

Z różnych miejscowości woj. lubelskiego dochodzą do nas wieści, że od wsi do wsi, od dworu do dworu, widać się tam jakieś podejrzanym indywiduum, nodalace się za propagatorów monarchizmu i usiłujące zjednać zwolenników dla swych hasel w rodzaju „władza dla króla, ziemia dla ludzi” (notabene bez odškodowania). Przy sposobności indywidua te zbierają składki na cele monarchistyczne. „Wystawiccy monarchii” rekrutują się głównie z ludzi młodych. [...] Ostrzegamy mieszkańców wsi i dworów przed tymi podejrzanymi wystawicami, zwracając jednocześnie uwagę miarodajnych czynników na to osobliwe, a niepożądane zjawisko.

„Głos Lubelski”

Postęp techniczny, którego jesteśmy świadkami, daje wiele do myślenia na temat przyszłości. Jak na przykład będziemy żyli w roku 1900? Przede wszystkim wskutek prawie zupełnego zaniku pojęcia wielkiej odległości, będzie cały świat dla człowieka małym. I rankiem będziemy czytali nowiny z Ameryki z równym zainteresowaniem jak płowki miejscowe. W nocy oświetlać będzie śpiącego światło lampy kwarcowej przeprowadzającej systematyczną kurację. Kolosalne zmiany zaidą w położeniu kobiet. Wskutek rozwoju techniki w kuchni nie będzie musiała kobieta tracić wielu godzin na gotowanie. Wszystko zrobi elektryczność. Kobieta będzie mogła poświęcić się całkowicie robotom i wspaniałemu i dziecku stanie się bardziej niezależna. Wielkie domy będą mieć wspaniałą kuchnię, zamawiać dania można będzie telefonicznie, a zjawia się automatycznie. Powstanie prawdopodobnie jeden wspólny łańcuch, coś a la esmeraldo. Wojna w przyszłości będzie czymś tak okropnym, czego natłoczenia fantazja nie potrafi sobie wyobrazić.

„Ziemia Lubelska”

Wybrała:
Anna Orzechowska

Kamena str. 13

Kultura 1977

FILM

Znany u nas aktor francuski Alain Delon jest również producentem. Ostatnio w Paryżu odbyła się premiera filmu pt. „Le gang”, w którym także gra główną rolę. Dodajmy, że Delon na 33 filmach zarobił dużo pieniędzy. Kupuje konie i obrazy, produkuje meble, nabył akcje fabryki samochodów, a w gazetach — jak widać — czyta tylko o przedstawieniach filmowych i teatralnych. Cała reszta jest nudna i nie interesuje go.

Natomiast aktor włoski Alberto Sordi zakończył zdjęcia do filmu pt. „Ten mały urzędnik”. Po raz pierwszy nie gra lekko kocha, którego nie zawsze zgodę z prawem cerypette budzą wesołość na sali. Film jest dramatem o silnej wymowie społecznej, a Sordi gra przednio i zahukanego urzędnika który poza marną pensją niczego się w życiu nie dorobił. Cała jego nadzieja jest syn który jednak zostaje zabity przez bandytów. Gdy policja uwalnia jednego z nich, urzędnik, który jest przekonany, że to właśnie on jest mordercą jego syna — zabija go żelaznym drągłem. W sumie film pokazuje niepokojący wzrost bandytyzmu we Włoszech.

LITERATURA

Władysław Rymkiewicz pracuje nad książką pt. „Lekcja okrucieństwa”. Jej akcja toczy się podczas ostatniej wojny w Łodzi, Zgierzu i w partyzancie na Kieleszczyźnie. Jak twierdzi autor, będzie ona zarazem końcem jego „lódzkiego cyklu powieściowego”. Natomiast Krzysztof Kąkolowski skończył sztukę kryminalną pt. „Widzę śmieć” — jeszcze nie wiadomo, czy i który teatr ją za-

gra. W chwili obecnej Kąkolowski przebywa w RPN, kontynuując zbieranie materiałów do swich reportażów o trwaniu wojny w psychice wielu ludzi.

Bez echa w czasopiśmie czy teatrach minęła 10 marca 190 rocznica urodzin komediopisarza Józefa Blizinińskiego, autora nie tylko przecież „Pana Damazego”. W swoim czasie należał do najwybitniejszych twórców, dostrzegając i krytykując wiele wad warstwy ziemskiej. Warto dodać, że Bliziniński zaczął od tłumaczeń, uprzyśledniając po raz pierwszy szereg romansów francuskich, m. in. Al. Dumasa ojca i E. Sue.

Andrzej Wozniński opublikował tom wierszy pt. „Mistrz w tarczy”. Jak twierdzi, zawarł w nim przeżycia ostatnich dwóch lat, które nie były dla niego łatwe, stąd w wierszach — jak w witrażach — są barwy jasne, radosne obok ciemnych. Warto dodać, że poeta sam tworzy witraże — ale to jego prywatne hobby.

„Le Monde” postawił kilku znanym pisarzom francuskim pytanie, czy ich zdaniem istnieje obecnie wielka literatura amerykańska. Oto fragmenty wypowiedzi: Romain Gary — Ogólnie poziom jest dość wysoki, ale brak wielkich nazwisk. Przypomina pejzaż górski bez Everestu. Alain Robbe-Grillet — Wydaje mi się, że modni obecnie w USA pisarze tworzą literaturę konsumpcyjną, bez innych zadań. Pierre Kyria — Od czasu odejścia „generacji lat dwudziestych” literatura amerykańska zdaje się tracić blask.

MUZYKA

Minął rok od utworzenia Krajowego Biura Koncertowego. Jego działalność jako popularyzatora muzyki, połączona zresztą z działalnością impresaryjną, objęła już

27 województw, w tym roku chyba dotrze do wszystkich. Rok ubiegły zakończył się bilansem 313 koncertów, na których wystąpiło 279 wykonawców. Poza koncertami otwartymi także specjalnie dla zakładów pracy, domów kultury, a nawet muzeów. W środowisku wiejskim zapraszającym są najczęściej PGR-y. Obok uznanych artystów polskich, a także zagranicznych, występują młodzi adepci, dla których te koncerty stanowią debiut estradowy.

W Moskiewskim Dziecięcym Teatrze Muzycznym odbyła się premiera nowej opery-bajki dla dzieci pt. „Chłopiec-Wielkolud”. Muzykę skomponował Tichon Carennikow, libretto napisał N. Szestakow. Jak zwykle w bajkach, dobro przeciwstawia się złu. Dobro to jasne, dźwięczne linie melodyczne, żywe rytmy. Zło — świat ciemniejszy — charakteryzuje się ostrymi dysonansami harmonicznymi i szorstką melodią.

Bardzo niewiele polskich książek z zakresu muzyki doczekało się wydania poza granicami kraju. Odnotować więc warto, że w Anglii ukazała się książka kierownika Zakładu Muzyki Instytutu Sztuki PAN Stefana Jarocińskiego pt. „Debussy a Impresjonizm i Symbolizm” — równocześnie z drugim wydaniem w języku polskim. Pierwsze wydanie ukazało się w 1966 r. razem z tłumaczeniem francuskim.

OPINIE

„Coraz częściej słysze, jak dyrektor wysokiego szczebla przerywa na naradzie referat dyrektora niższego szczebla w ten mniej więcej sposób: „Dyrektorze, jak słyszę te p... to mnie w ch... strzyka” (...). O czym świadczy narastanie tej nowej roli? Powstało nawet nowe słowo: dawniej rebranie czy instruktaz nazywano nasładową, dziś coraz częściej... operdową”. (Jerzy Surdykowski — „Życie Literackie” nr 13).

„Zaczynamy obserwować w naszej literaturze poświęconej współczesności pewne charakterystyczne zjawisko: mnożą się powieści, krótsze lub dłuższe (jak również filmy — które są beletrystyką naszego czasu) zajmujące się przede wszystkim i ze swego rodzaju pasją układami personalnymi, sprawami oraz intrygami o osobowymi w kierownictwach (...)

Bohaterem naszej współczesnej powieści coraz częściej staje się młody człowiek z polityczną, partyzancką, konspiracyjną przeszłością, albo też czterdziestolatek ledwo pamiętający wojnę, ale już na kierowniczym stanowisku”. (Razimierz Kozmiewski — „Polityka” nr 12).

„Czyta się też niekiedy w liściech lamenty kierowników: jeśli wszyscy będą się uczyć, to kto w końcu będzie pracował! Krótko-wzroczne to sądy, niesprawiedliwe oceny. Poza szacunkiem, jaki budzić musi zawsze czyjeś dążenie do wiedzy, starania żeby umieć więcej i lepiej, potrzeba tym ludziom zapracowanym przez cztery lata do granic fizycznej wytrzymałości wiele serca, wiele ludzkiego zrozumienia, pomocy i życzliwości”. („Prawo i życie” nr 12).

„Są wszakże pisarze, którzy chcą być słyszani nie „dla próżnej zdobycia sławy”, ale dlatego, że swoje pisanie uważają za obowiązek sumienia, za imperatyw kateryczny — to, co piszą, jest przesłaniem światu prawdy ważnej, a w każdym razie potrzebnej”. (Janina Wiczerka — „Czas” nr 12).

PLASTYKA

Znany urbanista prof. Juliusz Goryński oraz profesor warszawskiej ASP Bohdan Urbanowicz opracowują ostateczną wersję „raportu o kulturze środowiska”. Chodzi o przeciwstawienie się, administracyjnie i społecznie, uniformizacji naszych domów i osiedli, nadanie im oardziej „ludzkiego” wyglądu. Zdaniem autorów skalenie wizualne naszego środowiska doszło już niemal do krytycznego punktu. Autorzy m. in. proponują, aby władze wojewódzkie miały większe uprawnienia w zakresie programowania przestrzennego, aby znówelizować prawo autorskie w taki sposób, by różne komisje i urzędy nie miały prawa tak zmieniać projektów architektonicznych, iż buduje się zupełnie co innego, niż zamierzal autor.

Do Związku Artystów Plastyków w ZSRR należy ponad 14 tys. osób, w tym 4 tys. mieszka w Moskwie. Czwarć część to młodzi ludzie, którzy nie ukończyli jeszcze 30 lat. W Kraju Rad istnieje 57 szkół średnich i 17 wyższych uczelni sztuk pięknych. Te ostatnie kończą co roku ponad tysiąc

absolwentów. Prezes Związku, Dymitr Moczalski, powiedział ostatnio: „Najpierw trzeba nauczyć się rysować, operować kolorem, perspektywą, światłocieniem itp., a dopiero potem pomyśleć sobie na rozmaite eksperymenty”.

78-letni Henry Moore, jeden z największych współczesnych rzeźbiarzy angielskich, całą swoją wartość kolekcję rzeźb, grafik i małych dzieł przekazał narodowi. Eksperymenty wartości materialnej tych dzieł opiewają na 5 milionów funtów szterlingów. Przynajmniej warto, że przed dwoma laty artysta przekazał 300 swych prac dla „Centrum Moore’a”, które powstało w Toronto.

TELEWIZJA

Nasza telewizja posiada własną wytwórnię filmową „Polter”, która w roku bieżącym wypelni 24 godzin emisji. Niezależnie od tego telewizja korzysta szeroko z pracy zespołów filmowych. W tym roku zobaczymy na ekranach telewizorów m. in.: „Noce i dnie” J. Antczaka, „Ziemie obiecane” A. Wajdy, „Polskie drogi” J. Morgensterna, „Laik” R. Bera, „Laurynka” Z. Skoniecznego, „Zakład dwor” A. Krauzego oraz trzecią serię „Czterdziestolatek” J. Grudy. Razem około 60 godzin emisji.

Telewizja radziecka współpracuje obecnie z odpowiednimi organizacjami telewizyjnymi w 111 krajach, w tym naturalnie ze wszystkimi socjalistycznymi. Jak się okazuje, zachodnioeuropejska Europowizja zakupiła w Interwizji cztery razy mniej pozycji, niż odwrrotnie. Ostatnio, zgodnie z założeniami uchwał w Helinkach, telewizja radziecka zwróciła się do 27 teleorganizacji zachodnich o znaczne rozszerzenie wymiany — ale odpowiedzi brak. Najlepiej układa się współpraca z Finlandią, Francją i Japonią.

WYZNANIA

„Przyjmuję pochwały od tych, którzy przynajmniej chcą zrozumieć moje wywody. Inaczej trzeba by sięgnąć do moralu starej bajki o Arabie i lwie, który zanim zjadł Araba, najpierw go sobie oblał. Już w fazie oblażywania potrzebny jest jednak lew. Coż można poradzić, że niełatwo dzisiaj o tak egzotyczne zwierzę?” (Ryszard Klonowski — „Literatura” nr 11).

ekran i widz

„Barwy ochronne”

WAJDA i Zanussi to bez wątpienia para najlepszych polskich reżyserów filmowych, zresztą bardzo różniących się od siebie zarówno z uwagi na filozofię artystyczną, temperament czy też środki wyrazu. Po emocjonalnym trzeba iść na film Wajdy — powiedział Krzysztof Zanussi niedawno w wywiadzie udzielonym miesięcznikowi „Kino”, a zarzut, że i on bohaterowie jego filmów przywdziewają zazwyczaj „nieprzeniknącą maskę”, odparował: Maska to coś sztucznego, narzuconego. Człowieka z maską traktujemy niechętnie. Jeżeli powiemy natomiast, że powściągliwość, że kontrola własnych spontanicznych agresji, namietności i pożądań jest tym, co w sumie stanowi ludzką kulturę i odróżnia człowieka od reszty świata naturalnego, to wtedy moja opcja jest prosta — za kulturę.

Przyjęto się — zresztą słusznie — określać filmy Zanussiego mianem „moralitetów współczesnych”. Jego bohaterowie, pełni konfliktów i rozterek etycznych, uparcie poszukują swojej racji bytu, swojego miejsca w otaczającym ich świecie. Dodajmy, że Zanussi penetruje zazwyczaj środowisko ludzi młodych, od lat dwudziestu kilku do czterdziestki, i że zawsze akcje swoich filmów osadza w konkretnej polskiej rzeczywistości — w scenarii dalekiej od sztampowości — oraz że jego filmy są zarazem doskonałymi studiami socjologicznymi.

Znajomość tematu, i umiejętność, z jaką reżyser porusza się w środowisku studentkim, pracowników nauki czy grupy ludzi, którzy niedawno skończyli studia i znajdują się w trakcie uzupełniania szeregów nowej, polskiej inteligencji — jest zadziwiająca. Ale jest też przecięt-

wisku, którym się zajmuje i o pokoleniu, w którym żyje, zdobywał studium i kończąc najpierw fizykę, później filozofię, wreszcie — wyższą szkołę filmową. Może dlatego tak często odwołuje się do racjonalizmu w sztuce i tak często bohaterami jego filmów są nie „za-

stanowiska życiowe i postawy moralne nie dotyczą jedynie jakiejś specyficznej społeczności.

Lato, wakacje, do rekreacyjnego ośrodka uniwersyteckiego zjeżdżają uczestnicy studenckiego obozu naukowego, podczas którego mają zostać ocenione i nagrodzone prace członków studenckich kół naukowych z różnych uczelni w kraju. Obóz ten to zarazem pierwsza szansa „sprawdzenia się” młodego absolwenta anglistyki, magistra Jarosława Kruszyńskiego (Piotr Garlicki), który właśnie został asystentem, a tutaj powierzono mu funkcję kierownika obozu. Jest to zresztą funkcja — jak wszyscy pamiętamy z okresu studiów — nader nieważna; człowieka zawieszono między społecznością studencką (z której już wyszedł) a środowiskiem pracowników nauki (do którego właściwie jeszcze nie wszedł). Taki młody asystent, „pan magister”, jak tytułują go z nutą ironii w głosie obydwoje wspomniane grupy, człowiek pełen zapachu i trochę jeszcze naiwnej wiary w świat i ludzi, w niewzruszonosć ideów — staje się często przysłowiowym „chłopcem do bicia”. I podobnie dzieje się w „Barwach ochronnych”.

Przeciwstawienie Jarosława to kierownik naukowy obozu, docent Jakub Szestowski (Zbigniew Zapasiewicz) — człowiek na pewno nieprzeciętny, o wysokiej inteligencji i błyskotliwym umyśle, ale zarazem konformista osobnik zgorzkniały i w sumie — nieszczęśliwy, zdający sobie sprawę ze swej życiowej porażki, u której podstaw stało chyba wygodnictwo i brak charakteru. Człowiek, który wymyślił sobie teorie potrzeby przybierania — jak to się dzieje w przyrodzie — „barw ochronnych” zapewniających bezbolesne i bezkonfliktowe przystosowanie się do każdej sytuacji. To za zdrowie i gorycz z poniesionej porażki kaza docentowi w sposób cyniczny i okrutny „doświadczać” i „wypróbowywać” młodego asystenta. A końcówka scena filmu jest — wbrew pozorom — przynajmniej się docenta Jakuba do kleski. Każde też mieć nadzieję, że młody asystent nie pójdzie w życiu w ślady swojego „kierownika naukowego”.

md

noty i notki

Bardzo mi się podobają jeżdżące po Lublinie nowe trolejbusy radzieckie. Z jednym wyjątkiem: dwuosobowe siedzenia są raczej wąskie. Mimo to wiele par kładzie obok siebie na siedzeniu torby i zakupami, a panowie wypychają teczkę. W rezultacie „ten drugi” siedzi — by powiedzieć elegancko — na półgębku, co dla ludzi zmęczonych po dwóch przystankach staje się bardziej przykre niż stanie.

Restauracja „Centrałka” w Zamościu po remoncie wygląda bardzo ładnie, a i jakość

podawanych potraw wraca do dawnej świetności. Ale np. w dniu 11 marca „Centrałka” była zamknięta dla konsumentów indywidualnych do godz. 15, a „Hetmańska” także.

Pisałem kiedyś krótko o figlach komputera, zainstalowanego w lubelskich Zakładach Energetycznych. W nr 62 „Sztandar Ludu” dyrektor tychże Zakładów Tomasz Wnuk wyjawiał, jakie korzyści daje owi komputer: regulowanie należności na bieżąco, wyszukiwanie liczników do legalizacji, obliczenia statystyczne. Autor artykułu zakonczony tym wywiadem, Marian Buczek, dodał od siebie, w ciągu kilku miesięcy na oszustwa, przeproszam — niedokładności w obliczaniu należności zgłoszono 8 tys. reklamacji. Dyrektor na to nie nie odpowiedział. No tak, bo wszystkie zależy od punktu widzenia: biurokratycznego lub ludzkiego.

Dążenie do oryginalności na estradzie jest godne pochwały do chwili, gdy nie przybiera ono więcej niż dziwacznej formy. Violetta Villas w lutym i w marcu występowała w pewnym lokalu w Katowicach, wychodząc na estradę z pieskiem. Zastanawia

mnie, co robiła za kulisami realizatorzy, aby pieszek na estradzie w pewnej chwili nie podniósł tylną nogę. Nie dają mu pić? W takim razie co na to Tow. Opieki nad Zwierzętami?

Niezbadane są źródła niektórych postanowień Komisji Kultury Języka Komitetu Językoznawczego PAN. Mianowicie nazwiska osób, które wkroczyły na widownię dziejową przed rokiem 1890, powinno się pisać zgodnie z dzisiejszą pisownią, natomiast tych, którzy wkroczyli później — zgodnie z ówczesną pisownią. Wychodzi na to, że autor artykułu „Dłużnicy do raportu” w poprzednim numerze „Kamery” o rodzinie Zamojskich rozmawiał z panem Zamojskim.

„Student” w nr 5 wydrukował 170-wierszowe sprawozdanie Grzegorza Tusiwicza z jego podróży do USA. W tych 170 wierszach autor opisał 12-godzinny lot nad Atlantyką, wypad z Nowego Jorku do New Britain samochodem (okolo 200 km) i z tejże New Britain autobusem do Nowego Jorku (okolo 700 km). Po drodze zdążył znotować, że jakiś kikutypetrowy dworzec autobusowy może się rozciągnąć i że Broadway to „takie

sobie Plandy Diety z wysokimi domami i dużymi autami”. Koto tych nowojorskich piant spotkał czarnego chłopaka, który na „dziękując stary” uściskał mu łapę i odpowiedział: „Nie ma sprawy”. O pięćmilionowej Eladefili ani słowa, bo zaspas. Oto na co rodacy wydają dolary, inkasując potem złotówki jako honorarium za reportaż zagraniczny.

Sklep galanterijny przy ul. Narutowicza w Kraśniku tak reklamuje swoje towary: „Bo pigmko na to jest, by zachwycić... C. K. Norwid”. Cieszy, że ktoś tam czytał Norwida. Smuci, i to bardzo, że głęboka myśl wielkiego poety została tak spłaszczona, iż wola to o pomście. Nie do nieba, ale do kogoś, kto powinien czuć się nad komercyjną stroną handlu.

(m)

Jak sama nazwa wskazuje, pismo „Kobieta i życie” przeznaczone jest dla piśmienniczej polowy naszego rodzaju ludzkiego. To też z pewnym zdziwieniem przeczytaliśmy numerze z 6 marca pouczenie, co należy robić, aby gonienie (twarzy) stało się przyjemnością, a nie uciążliwą koniecznością.

Las

POCZTA LITERACKA

G. T. Lublin. Typowy błąd debiutanta: w pogoni za oryginalnością gubi Pan komunikatywność. Zresztą to tak nagminne, że nie wiem, czy można mówić o błędzie. Wydaje się nawet, że praktyka to jest uzasadniona: zdaje się warunkować ten najistotniejszy monolog wewnętrzny, który jest istotą poezji. Ale ja wcale nie upominam się o znaczenie. Pierwszym warunkiem wiersza jest, by tekst zawarł indywidualne właściwości autora, drugim — by został odebrany. Przy czym ten drugi wcale nie jest ograniczeniem pierwszego. Na przykładzie wybitnych poetów widać jakim powodzeniem do radości jest, kiedy metafora nie traci niczego z osobowości danej sytuacji lirycznej znajduje pełną drogę do czytelnika.

S. M. Lublin. Właściwie powinienem powtórzyć to, co napisałem wyżej. Z tą różnicą, że nie gubi Pan komunikatywności, lecz odchodzi od prawidłowości leksykalnych i frazeologicznych. Wiem, co Pan chce powiedzieć, ale te słowa nie mają takich znaczeń, jakie chce im Pan przypisać, nie łączą się w taki sposób, do jakiego je Pan zmusza. Kod, kod. Język jest kodem. To zasada każdej sygnalizacji. Inaczej to tylko machanie chorągiewką, błyskanie światłem.

S. R. Janów Lubelski. Realla a realla. Nie znaczy, że Pan podpatrzył autentyk, jeśli pochwylił kilka środowiskowych powiedzonek. Zresztą wiele z takich jest w każdym środowisku jedynakowych. Podpatrzył autentyk to zaobserwować zjawisko szeregów charakterystycznych dla danej osoby, grupy osób, miejsca. Takie relacje o pańskim mieście chciałbym otrzymać. Oparte na doświadczeniu, wyniki z umiejętności podopiecznika. Niech to nie będzie opis możliwości do sporządzenia przez kogokolwiek.

P. R. Włodawa. Obserwuję u Pana chwalebny upór obstawiania przy swoim i cierpliwość w niepowodzeniach. To przekonuje. Znaczą, że ma Pan jakąś załączkę światopoglądu artystycznego, a przynajmniej intuicyjne wyczuwanie artystycznych racji. Co jednak mam za złe, to jakiś minimalizm, wierność małowemu formatowi. Trudno i darmo, trzeba się zdecydować. Generalna batalia może się skończyć porażką, ale trzeba ją w końcu podjąć.

W. P. Puławy. Słowa są zorientowane na dzisiejszy obyczaj składniowy i semantyczny, ale nie ryzykują niczego na własny rachunek. Co się stanie ze współczesną poezją, będzie i z nami — taką zdają się wyznawać filozofie. Nie nakłaniania Pana do opozycji przeciw całemu współczesnemu poetyckiemu piśmiarstwu, ale ta skłonność ukrycia się w szeregu nie świadczy najlepiej o rzetelności artystycznej. A może pochodzi ze skromności, z oceny sytuacji na swoją niekorzyść? Proszę Pana, poeta, autor wiersza powinien wychodzić z założenia, że tylko on ma coś do powiedzenia. To jest konieczna zarozumiałość artystyczna, warunek sine qua non. Oczywiście, jest źle, kiedy zarozumiałość w znaczeniu artystycznym staje się zarozumiałością po prostu, ale to inna sprawa. Jeśli chodzi o poezję, musimy być przekonani, że na końcu każdej poetyckiej eksploracji znajduje się ni mniej ni więcej, tylko odkrycie świata.

S. T. Warszawa. „Próg drukowalności”. Wiele tak przywykło do tego pojęcia — sżtonu, że nawet przystępując do pisania ma na uwadze tylko, by ów próg przekroczyć. Powstaje przez to jakaś poezja felietonowa, dziennikarska. Poezja nie jako wypowiedzianie siebie, ale liczenie się z innymi: redaktorem, wydawcą, krytykiem. A przede wszystkim podporządkowanie się obowiązującej modzie literackiej. Więc cóż z tego, że tu i tam da się stwierdzić udany zwrot, ciekawe określenie, skoro całość podporządkowana jest nie zasadzie indywidualności, ale konwensansu. Nie wystarczy przekroczyć próg. Trzeba jeszcze umieć być z tym problemem.

W. G. Białystok. Wprawdzie to nie nasz temat, od tego są wydawnictwa książkowe, ale kilka uwag o pańskiej prozie powieści stosownie do życzenia możemy wypowiedzieć. Otóż powieść w ogóle postępuje się intryga po to, by „wyprodukować” z niej to, co się nazywa ideą utworu. Pan na tym półprodukcie jaką jest intryga, poprzestał. Nagromadził Pan masę wątków, użył wiele materiału, ale jakie wynika z tego pańskie spojrzenie na życie, nie wiemy. Proszę wziąć pod uwagę, że każdy szczegół w utworze literackim powinien spełniać określoną funkcję na rzecz zasadniczej jego wymowy. Nie wystarczy, że ktoś gdzieś wyjechał, z kimś się pokłócił, w kimś się zakochał. Tak bywa w życiu. Ale literatura nie ma życia powtarzać. Ma je wyjaśniać.

C. T. Bielesko-Biała. Przypadam się, że mam trochę nieufności do obszernych plików zawierających manzjnopisy wierszy. W nich widać jakby naturę skapca. Gromadzić, postać. Przy czym obojętne jest co, ważna jest ilość. Skapiec w znaczeniu dostojnym — dodajmy — jest w położeniu sensowniejszym, ponieważ jeśli chodzi o pientadze, rzeczywiście tylko ich ilość gra rolę. Gorzej z poetą. Ta dbałość o zewidencjonowanie każdego poetyckiego wrzucenia, to — jeszcze jedno do inwentarza”. Nie chodzi o to by zadrukować ryze papieru. Chodzi o to, by dać powód do zastanowienia.

S. G. Lublin. Nie bez zaciekawienia przegladalem te zapiski liryczne prowadzone jakby na zasadzie pamiętnika z pełną potrzebą szczerości i bezpośredniości. Są nieudawane. Mają na celu odkrycie jakiejś prawdy samemu ich autorowi. Poszukują. Oczywiście nie można ich potraktować jako skończonego tekstu, ale mają ten walor wyznania, który prowadzi do zdobycia piśarskiej samowiedomości.

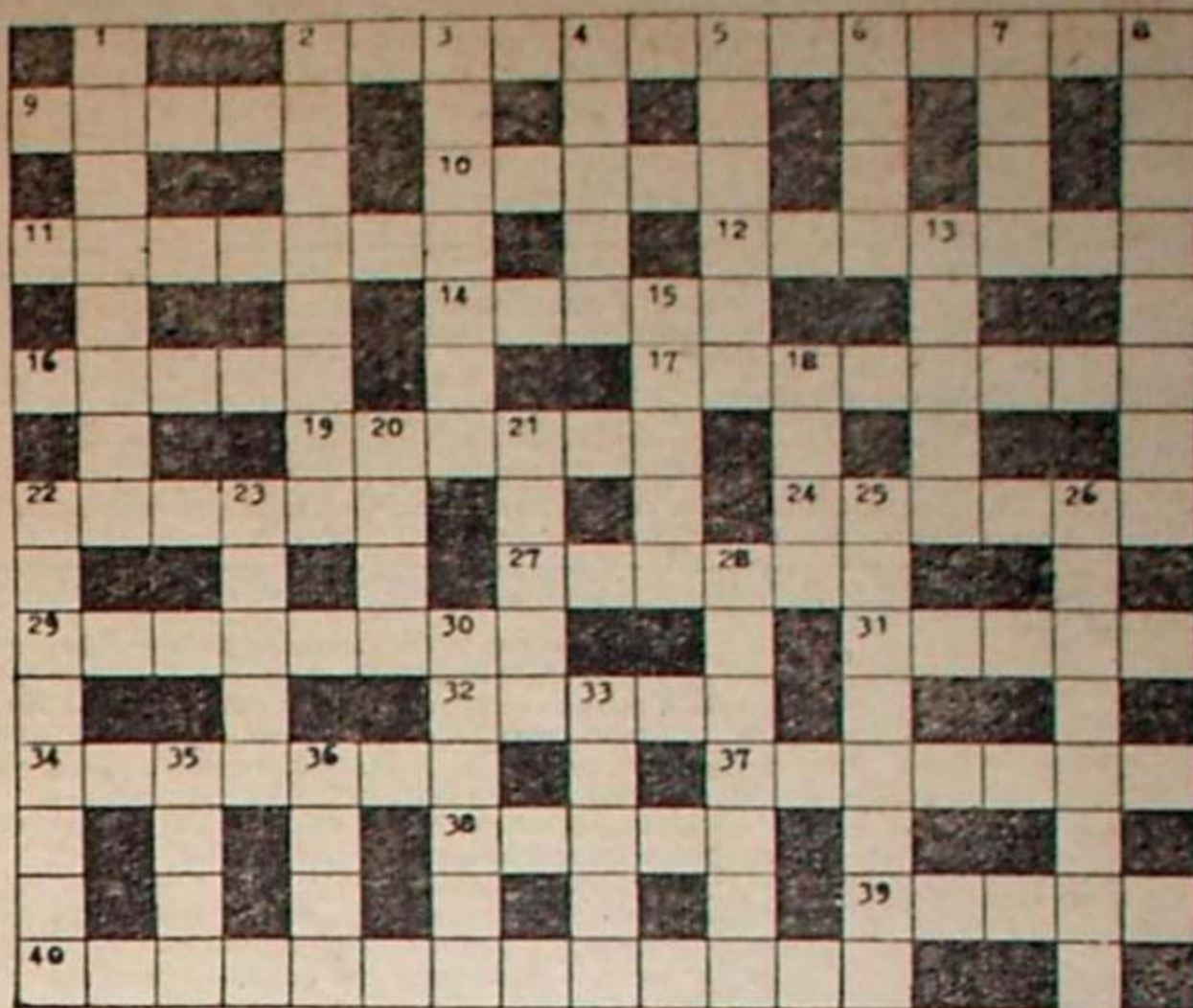
KRZYŻÓWKA

(nr 7)

POZIOMO: 1. pisarz polski, bohater polsko-norweskiego filmu, 8. nie poezja, 10. ulaska bron, 11. w kiczu na rykowisku, 12. figura geometryczna o bokach równych i kątach prostych, 14. obok chwały u Iwaszkiewicza, 16. pld. amerykańska małpa szerokonosna, 17. radny miejski w Anglii, 19. G. B. Shawa nazywano wielkim, 22. wiersz fabularny, 24. stolica Omanu, 27. część uprzedz na łeb, 28. zjawisko zmiany szybkości reakcji chemicznej, 31. najwyższy wybór, 32. staroirański bóg wiatru, burzy i wejny, 34. francuski pisarz pochodzenia rumuńskiego, autor nowoczesnych sztuk teatralnych, 37. okolice podatrzańskie, 38. sycylijska tajna organizacja, 39. oświetla scene, 40. prezydent Warszawy od 1875 r., zasłużony dla uporządkowania miasta.

PIONOWO: 1. miasto wojewódzkie nad Sanem, 2. współczesny pisarz polski, autor cyklu „Nowa baśń”, 3. poeta romantyczny, autor „Rusalek”, 4. teatr kabaretowy w międzywojennej Warszawie, 5. drapieżnik z rodziny psów, 6. wyspa pierwszego zesłania Napoleona, 7. kłótnia, 8. u zwierząt zastępuje rozum, 13. pisarka francuska, autorka scenariusza filmu „Hiroshima, moja miłość”, 15. naczynie na kwiaty, 18. pewność siebie, wiara w swoją wartość, 20. dama, kobieta, 21. lasso, 22. grecki matematyk i fizyk, który stwierdził, że suma kątów trójkąta zawsze wynosi 180 stopni, 23. imię żony księcia Monaco, 25. staropolski dzierzawca, 26. szybki biegający pasterzeć stępoy, 28. miasto i prowincja na Sycylii, 30. rodak, współplemieńiec, 33. nimfa zamieniona przez Zeusa w drzewo laurowe, 35. przepływa przez Pińczów, 36. miasto w USRR, miejsce formowania kilku jednostek Ludowego Wojska Polskiego.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 6
Poziomo: prodiż, skiff, złoto, rozbiórka, ciebie, rulon, Bohomole, nitka, Anin, grosz, Yale, krab, arab, szop, socha, mata, smrek, polifonia, słowo, fajka, Moniuszko, Niassa, smezek, klisza.
Pionowo: rzecznik, Modest, Poręba, Dobrowolski, karo, Faulkner, król, kanon, Orzechowski, etyka, kobza, alarm, Gonio, astronom, bakłażan, maszt, Safona, Rejtan, pomoc, lont.

Za prawidłowe rozwiązanie szwogramu nr 5, bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Maria Grzeszółka 68-484 Gończyce woj. siedleckie, Halina Jaworska, 28-688 Lublin Pana Tadeusza, 12-63, Włodzimierz Kuletnik, 21-288 Radzów Podlaski, Warszawa 64, Janina Nowakowska, 22-450 Zamość, Hanka Sawickiej 90.



ZAKULISOWE SPÓŁKI?

Z prawdziwą satysfakcją przeczytałem w waszym poczytnym piśmie felieton demaskujący plagiatów tekstów. Z satysfakcją, gdyż być może ta forma publicznego wskazywania przestrzeże amatorów korzystania z czyjejs pracy przed dalszymi plagiatami. Myślę, że tymczasem to winno również przedruków bez zezwolenia autora (jeden z niedzielnich magazynów poznańskich drukował w ub. roku obszerny fragment mojego reportażu, zamieszczonego w „Kurierze Lubelskim”, o czym dowiedziałem się równocześnie z... odbiorem na pocztę honorarium) oraz... ale najlepiej postąpię się przykładem.

W tuodniku „Kultisu” nr 10 z 6 marca br. wudrukowany został reportaż autorstwa Aleksandra Kedaj, traktujący o włoskim bandycie Vallancasce, a zatytułowany „Twardy Renek”. Ma to być — o czym informuje się czytelnika — „korespondencja własna z Włoch”.

W tym samym czasie „Sztandar Ludu” nr 51 z 4-5-6 marca opublikował reportaż pt. „Mit zbrodni na ulgowych papierach”, przedstawiający historię tegoż bandyty, a napisany przez... Waldemara Puławy. Nie wiem co sadić o zbieżności nazwisk autorów, trudno mi nie sam tekst, który w obu wypadkach jest prawie identyczny. Piszę prawie powtórnie różni się on zarówno sformułowaniami, jak i nieco odmiennym traktowaniem chronologii opisywanych wydarzeń. No, może jeszcze tym, że w „Kulisach”: „Miodom z tej dzielnicy (Comasina — przys. aut.) pozostaje tylko piac i mały bar przy

Via Teano”, zaś „Sztandar Ludu” twierdzi, iż „... nie ma ani jednej szkoły (...). Są za to liczne bary i nocne lokale...”. Pisza też „Kultisu”: „Na kilka dni przed aresztowaniem Vallancasci policja włoska aresztuje innego przestępcę, 32-letniego Pierre Luiti Concutellogo...”, zaś „Sztandar Ludu” skraca ten czas: „48 godzin przed Vallancascą, w niedzielę (...). aresztowany został (...) Pier Luiti Concutelli...”

To, że „Kulisu” nazwał bandytę Vallancascę, a „Sztandar Ludu” Vallancascą jest drobniactwem... Oprócz tego wszystko wskazuje na to, że albo pan Waldemar Kedaj, korzystał z tekstu pani Aleksandry Kedaj, albo bardziej przedsiębiorca była pani Aleksandra. Nie jest wykluczone, że mamy tutaj do czynienia ze swoiście rozumiana spółką autorską, o czym sygnalizuje Kolegium mając nadzieję, że tym samym uniesie swój skromny wkład do archiwum osobliwości obyczajowych, gromadzonych w „Kamieniu”.

Waldemar Ostrowski Puławy

Od redakcji: Wydałem nam się, że autor nieco przesadza jeśli chodzi o przedruk bez zezwolenia autora. Gdy pismo powołuje się na źródło, z którego korzysta, pytanie autora o zgodę na przedruk, zwłaszcza gdy rzecz jest aktualna, nie wydałem nam się potrzebne. W takiej sytuacji np. „Magazyn Polski”, omarty głównie na przedrukach, miałyby niemałe kłopoty z redagowaniem poszczególnych numerów! A poza tym dziękujemy za pamięć.

„DŁUŻNICZY DO RAPORTU!”

W nawiązaniu do publikacji J. Dostatniego „Dłużnicy do raportu!” („Kamien” nr 6 z br.) chciałabym przypomnieć, że sprawa rewiduacji zbiorów koźłowieckich ma już kilkunastoletnią tradycję, tyle że nigdy nie przekraczała sfery postulatów i pobożnych życzeń. Oto w „Studiach i Materiałach Lubelskich” z 1963 roku, wdawianych przez Muzeum Okręgowe w Lublinie, Teresa Libuchowca opublikowała prace pt. „Palac w Koźłowie”, w której czytamy: „Mimo że zbory koźłowieckie, podobnie jak sam wustrój wnętrza palacu, pochodzą w większej

mierze z czasów niezbyt odległych i nie można im przypisać większych wartości artystycznych, stanowią zjawisko na pewno interesujące, oduż za odbiciem gustu i smaku epoki w jakiej były kolekcjonowane. W związku z organizowaniem nowego Muzeum w Koźłowie rozproszone zbory powinny powrócić na dawne miejsce aby dać prawdziwy obraz epoki w jakiej powstały”.

Pa 14 latach znów podnoszona jest ta sama kwestia i właściwie znów organizuje się „nowe Muzeum w Koźłowie”. Miejsmu nadzieje, że tym razem wydarzenia rozidna się inaczej. Przy okazji chciałabym jeszcze przypomnieć, że zaniechano dzisiaj park miał być uporządkowany według projektu profesora G. Ciołka Malem, że zachowała się dokumentacja, autorowana przez wybitnego, niezwykłego znawcę przedmiotu.

Kazimiera Zalewska Lublin

List dyr. Centralnej Składnicy Muzealnej MKIS J. Paszyn zamieścimy w następnym numerze. (Red.)

DUŃSKI DOM

W gazetowych felietonach często spotyka się uszczypliwie uwagi na temat urzadzania domu przecietnego Polaka Wytuka się meble na wysoki połysk, pluszowe fotele i austryackie kanapy, Andrzej Osęka w „Kulturze” zarzuca nam, przecietnemu, że otaczamy się meblami w tzu, stylu retro, które ze względu na swoją cenę mały wątpliwie „dobry klasowy”. No dobrze ale odzie mu, przecietni, mamy szukać „kompasu estetycznego” w tym zakresie? Kiedys rodu i rodziny kształtowało wzorce estetyczne, dziś, po rewolucji społecznej w naszym kraju, jesteśmy często bezradni w tych rzeczach i kierujemy się dawnymi upodobaniami, często o charakterze drobniomieszczaniskim. Dlaczego więc u nas nie istnieje no poradnie estetyczne przy PSP? Bylem niedawno na wystawie „Duński dom” w Warszawie, na której prezentowano wyposażenie mieszkie w tym kraju. I przy okazji dowiedziałem się, że w Danii można uzyskać wspomnianą poradę, dotuczca urzadzania mieszkania. Więc może tak u nas?

Jan Wiśniak Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechcysz-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunta Mańkowski, Zygmunta Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuja Oddziały RSW „PRASA—KSIAZKA—RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręzcyciele — w terminach:
 — do 25 listopada na styczeń, i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następný.
 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78—
 Jednostki gospodarki unopiecznionej. Instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIAZKA—RUCH”
 Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorki indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręzcycieli.
 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIAZKA—RUCH” Centrala Koloportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 60-951 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.
 Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i płatki w godz. 14—16.
 Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN, Unicka 4. Zam. 710. 18.III.77 r.

Numer lamal: Mieczysław Psujek drukował zespół pod kier. Wacława Kopela
 Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1
 Nr indeksu 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
 Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Boško Vrhovac

Boško Vrhovac urodził się 18. X. 1942 roku w Miloslavcach pod Banja Luką. Studiował na Wydziale Ekonomicznym i Wydziale Nauk Politycznych w Sarajewie, gdzie obecnie mieszka i pracuje jako dziennikarz. Utwory swoje publikował w wielu jugosłowiańskich gazetach. Jest też autorem licznych słuchowisk radiowych. O popularności tego autora świadczy fakt, że jego satyry, wiersze i humoreski doczekały się wielu przekładów. Ukazały się tłumaczenia jego utworów, m. in. w języku macedońskim, słoweńskim, estońskim i polskim. Boško Vrhovac dał się również poznać jako autor opowiadań dla dzieci i dorosłych.

DO wczoraj posiadałem jeszcze anioła stróża. Towarzyszył mi wszędzie i zawsze biurokrata. Kiedyś w dalekiej przeszłości, gdy wyruszałem z domu w daleki świat żeby skończyć szkoły i zarobić na chleb, przy rozstaniu rzekła mi matka:

—Synku, niech ci na drodze twego życia zawsze towarzyszy szczęście...

Tymczasem zdarzyło mi się wprost coś przeciwnego w moim życiu od tego dnia, kiedy opuściłem dom rodzinny: pojawił się biurokrata. Nie opuszczał mnie ani na moment jakkolwiek wcale nie był mi potrzebny. Nigdy nie życzyłem sobie jego towarzysztwa. Biurokrata z własnej inicjatywy nigdy mnie nie odstępował. Chodził ze mną krok w krok.

—Biurokrato — mówię mu — nie jesteś mi wcale potrzebny! Ty na moje życie nie patrzysz jak pozostali ludzie! Ty patrzysz na wszystko poprzez akta.

—Tego mi zabrania mój okulista... — odpowiada. —Jak długo będziesz mi towarzyszył, biurokrato?

—Jak tylko będę mógł, bracie, doprowadzę cię aż do komunizmu.

I tak biurokrata towarzyszył mi uparcie przez wiele lat. Często klóćliśmy się, zawsze jednak on zwyciężał, gdyż był silniejszy.

Czekałem, aż on się w końcu zniechęci, w wypadku, gdy czyjaś sprawa zostanie natychmiast załatwiona. Nic jednak nie pomagało. Biurokrata miał wpływową rodzinę, oraz licznych przyjaciół, którzy natychmiast ingerowali.

Z czasem zaczął się również mieszać do mojego życia prywatnego. Towarzyszył mi nawet w sypialni, interesowało go moje życie małżeńskie.

A oto wczoraj wyjechał ze mną na urlop do Dubrownika.

Jechaliśmy razem wszystkimi środkami lokomocji. Pociągiem nad morze, taksówką do hotelu i pieszo na plażę.

I to był już ostatni dzień mego anioła stróża.

Była śliczna pogoda. Postanowiliśmy się wykąpać. Morskie fale odciągały biurokratę coraz bardziej od brzegu. Był samotny, słabo pływał, zaczął się topić. Ja byłem jednak na tyle koleżeński, że zdecydowałem się go ratować.

—Pomóc ci biurokrato? — zawołałem. Ale z daleka usłyszałem tylko jego stałą odpowiedź:

—Niech pan się zgłosi jutro... Jak zwykle nie śmiałem mu się przeciwstawić. Zostawiłem go swojemu losowi; utopił się.

Uplłynęło niewiele czasu i specjalna ekipa rozpoczęła poszukiwania ciała biurokraty. Jednakże nie nie znaleziono. O jego śmierci zawiadomilem całą wielką rodzinę. Oni też postanowili rozpocząć poszukiwania. Jeśli im się nie uda i wy również możecie poszukać go sami. Ciało biurokraty nie mogło odplynąć daleko. Znajduje się na pewno na naszych wodach terytorialnych.

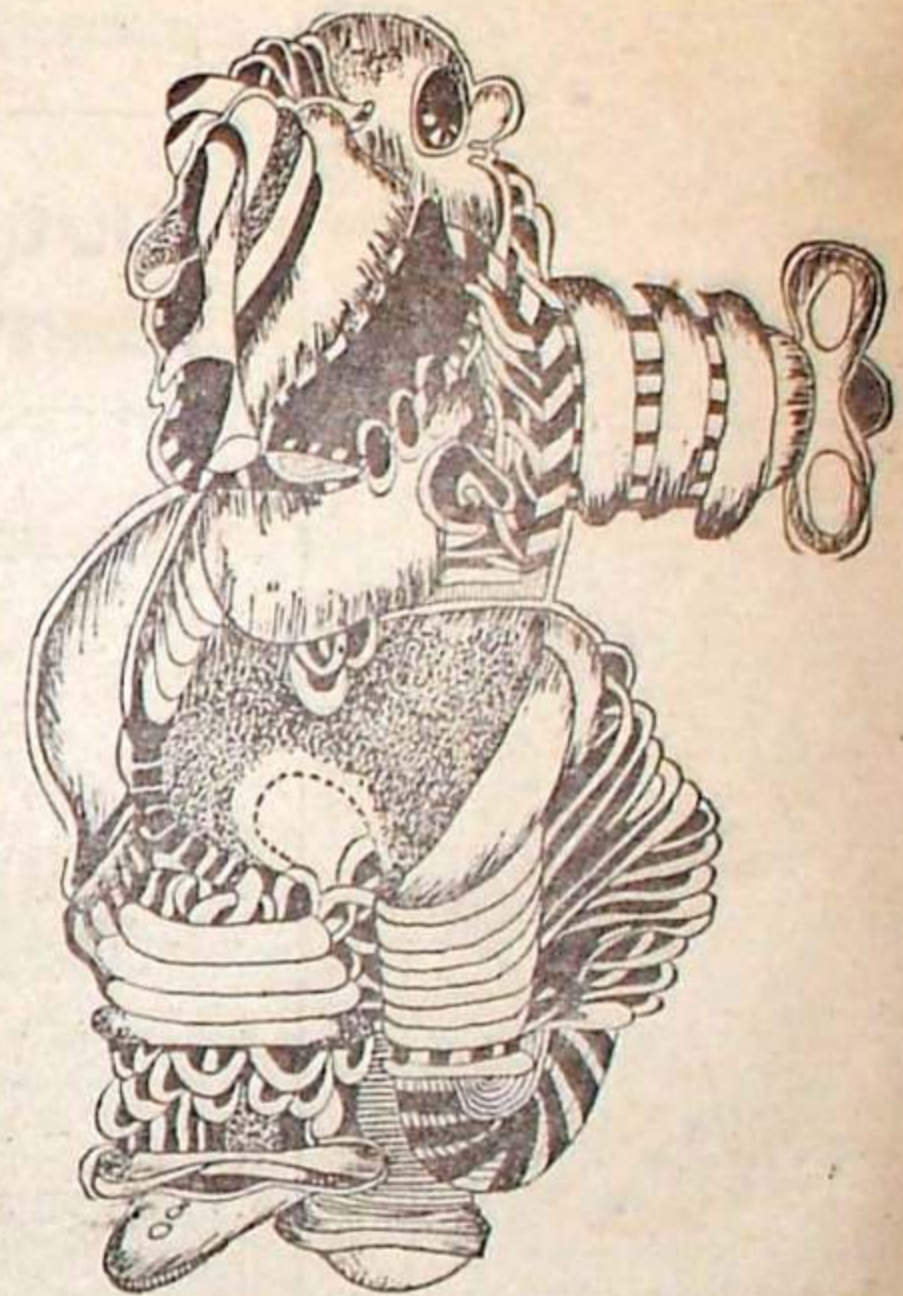
Przełożyła Ewa Grabowska

Zatęsknicie jutro za biurokratą...

To puste miejsce TYLKO W JEDNYM egzemplarzu „Kameny” jest wypełnione, być może właśnie w tym, który trzymasz teraz w ręku. Ale wypełnione jest atramentem sympatycznym, tekst więc ujawni się dopiero wówczas, kiedy przeciągniesz po tej białej plamie gorącym żelazkiem. Warto to uczynić, bo tekst stanowi ciekawostkę na 25 tysięcy złotych. Jest na nim podpis dyrektora banku, odpowiedni stempiel oraz informacja, gdzie można pobrać pieniądze. Szczęśliwemu znalazcy z góry gratulujemy wygranej.

DZIŚ MIRO-SŁAW MUŁA

Anatomia blues



BARAN 21 III-19 IV

Sprawa nieco się skomplikowała, ale i tak znajdziecie w miarę honorowe wyjście. Najbliższe dni po winny należeć do pomysłowych. Spotkanie, którego tak oczekujecie, dojdzie wreszcie do skutku. Pamiętaj jednak, że ta osoba zaczyna się czegoś domyślać. Kręcić też trzeba umieć! Jeśli, oczywiście, kręcić musicie...

BYK 19 IV-20 V

Wpadłeś. Dawno to ci się należało. I musisz zdać sobie wreszcie sprawę, że tym razem nie wykreślisz się stanem. Niestety, radzić sobie musisz wyłącznie sam, zwłaszcza, że w twoim piotkarskim towarzystwie już dużo na ten temat się mówi. Naturalnie poza twoimi oczyma. A ci, którym ufasz, robią cię po prostu w konia.

BLIZNIĘTA 21 V-20 VI

Jeśli sędzisz, że to właśnie będzie pełnia szczęścia, wykazujesz dziecięcą naiwność. Ale inni próbują, dlatego więc ty masz być tym dziwnym kaczkatkiem. Przede wszystkim jednak musisz się nauczyć pływać. Dotychczas starałeś się nie wchodzić do głębokiej wo-

dy, teraz jednak sytuacja się zmienia. Uważaj przynajmniej, by ta woda nie była zbyt brudna!

BAK 21 VI-22 VIII

Nareszcie przestałeś pić! Brawo. Ciekawe tylko na jak długo starczy ci tego samozaparcia. Propozycja, z którą się spotykasz zasługuje na przemyślenie. To właśnie jest to szansa, o której marzysz. Pamiętaj jednak, że inni mogą być szybsi i sprzątną ci wszystko sprzed nosa.

LEW 23 VII-22 VIII

No i gdzie twoje uroczyste przyrzeczenia? W gruncie rzeczy powinienś wstydyć się samego siebie. Wszyscy ci dobrze życzą, ale ty nie potrafisz się odplacić nawet zwykłą, ludzką dobrocią. W domu na razie nie masz kłopotów, pamiętaj jednak, że te częste rozstania nie służą kultywowaniu uczuć.

Ważne od 5 do 19 IV 1977 r.

PANNA 23 VIII-22 IX

Kto rano wstaje itd... Ty, niestety, należysz do śpiaczków. Chyba z największą przyjemnością prześpałbyś całe swoje życie. W tym „spaniu” jest nieco przenośni, dobrze wiesz, o co w tym wypadku chodzi. Ale leniem pozostaniesz chyba już na wieki wieków. Amen.

WAGA 23 IX-22 X

Podgryzałeś, podgryzałeś, i teraz ciebie podgryzili. Można ci złożyć gratulacje. Ale teraz przynajmniej wiesz, komu za wszystko dziękować. Ta gorzka lekcja może ci się przydać w przyszłości. Siaba to pociecha, ale w tej sytuacji... Sam rozumiesz!

SKORPION 23 X-22 XI

Nareszcie przytomniej spojrzales na życie. Najwyraźniej wiosna dobrze na ciebie wpływa. Teraz,

kiedy wrócił optymizm, czas na dokonanie solidnego rachunku sumienia. Tych drobnych grzeszków masz sporo na koncie, całe szczęście, że o niektórych wiesz tylko ty jeden. Bo gdyby tak druga strona dowiedziała się o nich! Brr... Nikt nie chciałby wówczas znaleźć się w twojej skórze.

STRZELEC 22 XI-21 XII

Nalazłeś się i teraz masz młodość. Zapominasz o tym, że podlizywać się też trzeba umieć. Pomimo wszystko możesz jednak mieć drobną satysfakcję, bo ten, którego tak nie cierpisz, wpadł z bardzo drobnej przyczyny. Ty na tym skorzystałeś, ale laska szefów na psim koniu jedzie... W najbliższej przyszłości szykuje ci się wyjazd. Płacówka dyplomatyczna? Nie bądź takim marzycielem!

KOZIOROZEC 22 XII-20 I

Tak czy inaczej będziesz załować, więc zbyt długo namyślać się

nie musisz. Cała sprawa nie jest zresztą aż tak poważna, jak myślisz. A za pół roku po prostu o niej zapomnisz. W domu nareszcie wszystko w porządku, chociaż... Czy te częste twoje późne powroty nie wzbudzają jeszcze żadnych podejrzeń? Oczywiście miłość już nie ta, ale gdzie znajdziesz lepszą?

WODNIK 21 I-19 II

Jest po prostu fajnie. Ale jeśli myślisz, że ta idylla potrwa długo, jesteś w błędzie. Znowu gdzieś narozrabiasz i poтім będziesz musiał długo pracować na zaufanie. Czy zauważyłeś, że ludzie są coraz mniej skłonni pożyczać ci pieniądze? Wnioski wyciągnij już sobie sam.

RYBY 19 II-20 III

Prowadzisz dom otwarty. Można i tak, ale przez to nigdy nie masz czasu dla siebie. Zaniedbałeś się, nie uzupełniałeś wykształcenia, czyli po prostu się cofasz. Za lat pięć czy dziesięć będziesz tego żałował. Nie się nie stania jeśli wykresisz pewne znajomości. Czy ty naprawdę sądzisz, że wszyscy są rzeczywiście tacy miłi? Uważaj! I to nieźle, jeśli dotychczas na tym się nie poznałeś!

Stella

HOROSKOPY